

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



NOWE ŻYTO

APOLONIUSZ KĘDZIERSKI



JÓZEF WEYSSENHOFF:

## ROZMOWY LITERACKIE

### Gamratka w literaturze polskiej.

Trzebaby ją nazwać jeszcze dosadniej. Bo nie o towarzysze mężczyzny wogóle dzisiaj mówię, temat byłby zbyt szeroki, lecz o przedmiocie zabawy męskiej, o „kobietce”, która, trzymana długo poza progami wytwornej powieści polskiej, wtargnęła do niej ostatnimi czasy z zagranicy, głównie z Francji. Nie wynika stąd, że ta samica jest u nas Francuzką. Mamy u siebie dostateczną liczbę jej okazów i odmian, aby gamratka polska była i w książkach rodowitą, wziętą bezpośrednio z życia.

Jest nawet gorzej, czy lepiej dla tego przedmiotu. Gamratka polska tak się rozwieliła we wszystkich warstwach społecznych, że niepodobna jej pominąć w obrazach życia dzisiejszego. Nie dziw więc, że najwybitniejsi nasi pisarze zajmują się dzisiaj losem i psychiką potworu kobiecego.

Wyraźnie mówię: potworu, kobiety, zwirodniałej w zwierzę pierwotne, lub, jak zdają się mniemać niektórzy pisarze, sprowadzonej do swej istoty integralnej.

Daleki jestem bowiem od chęci włączenia do kategorii gamratek kobiety, kochającej nielegalnie, „upadłej” tylko w pojęciu prawnym lub towarzyskim, która była i będzie zawsze bohaterką powieści i dramatów, a może też należeć do najwyższych odmian psychy kobiecej. Powtarzam więc, aby się nie zawikłać w nieporozumienia z czytelnikiem, że mówić chcę o kobiecie, która przez chciwość rozkoszy lub nędzę zabrnęła w polyandryę, wyuzdaną lub zawodową.

Ten typ był do niedawna uważany za mniej godny uwagi artysty dla prostej przyczyny, że rozpusta zaciera w kobiecie nie tylko wyższe pojęcia moralne, lecz i wrażliwość intelektualną, a nawet zmysłową. Pozostają więc do obserwacji dramatyczne przebłyki uprzedniej, nie spodlonej duszy, czasem przemożne i zbawcze, jak w Magdalenie, czasem zwodnicze dla mężczyzn, którzy zbyt ufają cudownej mocy odrodzeń. Pozostaje zawsze jednak mnóstwo ciekawości w „działach grzechu”, nęcących pisarza. Można przecie zajmować się nawet psychologią zwierząt i zdobyć sobie w tym rodzaju takie palmy poety, jak Rudyard Kipling. Jednym słowem—jeżeli *nil mortalibus arduum est*, tem bardziej dla nieśmiertelnego artysty nie ma zadań zbyt stromych, ani zbyt poziomych.

Możnaby tylko przypomnieć, że kobieta kochająca, czysta, lub względnie czysta, pozostanie zawsze przedmiotem bogatszym. Są w niej bowiem wszystkie skarby i *curiosa* natury kobiecej nie utracone. Za to przebłyki „wiecznej kobiecości” w rozwydrzonej samicy są tylko ułamkami, lecz mogą być dla wielu ciekawsze, dziwniejsze, łatwiej ujdą za wynalazki pisarza.

Faktem więc jest, że się rozmnożyły w naszej literaturze gamratki, że dużo o nich

się czyta, więc godzi się też i pomyśleć o nich w rozmowach literackich.

Z szeregu tych postaci wybieram najświeżej przybyłe, najstynniejsze dzisiaj.

Kursuje więc przedewszystkiem Ewa Pobratyńska z „Dziejów grzechu” Stefana Żeromskiego. Gdzieindziej starałem się dowieść\*), że ta Ewa, zarysowana wybornie na postać miłośnicy (*une amoureuse*) nowożytnej, zmienia się nagle i dla czytelnika niezrozumiale w jakieś widmo rozpusty bezwiednej, niby predestynowanej — i powieść, zaczęta, jak dzieło myśliciela i poety, zniża się do rodzaju sensacyjnego romansu. Pozostaje jednak ta połowa pomysłu, zawarta mniej więcej w pierwszym tomie, dla literatury cenna i wyrazista, duża próba wcielenia naszych pojęć o miłości płciowej i o „grzechu”, wynikającym z kolizji tych pojęć z moralnością religijną i prawną.

Niedługo po Ewie Pobratyńskiej wstąpiła do gościnnego domu naszej literatury spółczesnej mniejsza, bardziej ludowa, ale za to znacznie lepiej zbudowana Franka Wątrorek, z powieści Gabryeli Zapolskiej „O czym się nie mówi”.

Powieść ta jest charakterystyczna dla talentu autorki. Nie wymieniam umyślnie dzieł jej poprzednich, gdyż to ostatnie najlepiej może streszcza, jeżeli nie horyzonty, to ogromne zalety pisarskie tej znawczyni chorób społecznych, gorliwej i wymownej lekarki, pełnej kobiecego odczucia i polsko-kobiecej zabiegliwości o dobro publiczne.

Zapolska ma wrodzony dar spostrzegawczy tak wybitny, tak łatwo chwyta z szarego życia barwę zasadniczą i dla dzieła sztuki pożyteczną, takie wybornie dobrane słowa kładzie w usta swych postaci, jak mało kto z naszych pisarzy powieści i komedii. Przypomina się często Maupassant, gdy się czyta Zapolską, jednak bez ujmy dla naszej autorki, gdyż tylko o pokrewieństwie, nigdy o naśladownictwie, może być mowa. Ale pani Gabryela Zapolska broni się podobno od tytułu „naturalistki”? Może pozwoli przynajmniej nazwać się duchową krewną Maupassanta.

Bo istota jej talentu ciągnie ją do obserwacji codziennego, potocznego życia, które tylko drobnym talentom wydaje się drobnem. Szarość życia jest pozorna i wynika z szybkiego wirowania barw tęczyowych. Oko artysty ma tu zadanie, podobne do pryzmatu, polaryzującego wynik świetlny. Z plamy brudnej dla pospolitego widza chwyta artysta składowe barwy czyste, dobiera je potem i miesza tak, że plama stworzona jest niby rzeczywista, jednak jaskrawsza, artystycznie doskonalsza. Umie to sprawić Zapolska.

Może więc przez skrupuł jakiś, żeby nie zbyt niewolniczo naśladować naturę, przepłata Zapolska tok swego opowiadania rodzajem demonstracji uczuciowo-filozoficznej, lirycznej, zwróconej od autorki do czytelnika. Ależ my rozumiemy! Same sceny, same rozmowy są bez komentarzy wybornie ku artystycznemu celowi wymierzone.

\*) W *Bibliotece Warszawskiej*, zeszyt lipcowy 1908 r.

Płynie życie tak prawdopodobne, takie szare, a tak przejmujące! Ziewa w biurze kilku urzędników—ale zaraz czytelnik bawić się zaczyna różnością typów, ruchów, tonów rozmowy tych kolegów biurowych.

Paradny Konitz! Wyrocznia męskiej mądrości w znawstwie kobiet, marny i śmieszny, a przecie w pojęciach „towarzyskich” mądry i zasługujący na uszanowanie. *C'est quelqu'un!* Tak właśnie wyglądają koryfeje salonów, klubów i biur. Od takiego, choć nim z duszy pogardza, musi się uczyć nawet Krajewski, jeżeli chce należeć do „swego towarzystwa”.

Więc ci panowie, odrabiając machinalnie pracę biurową, myślą o „kobietkach”. Wprawdzie Krajewski jest człowiekiem wyższym, miłośnikiem poezji, ale i młodym, więc pragnie towarzyski, połowy duszy, a choćby tymczasem jej ćwierci—„czegoś lepszego”.

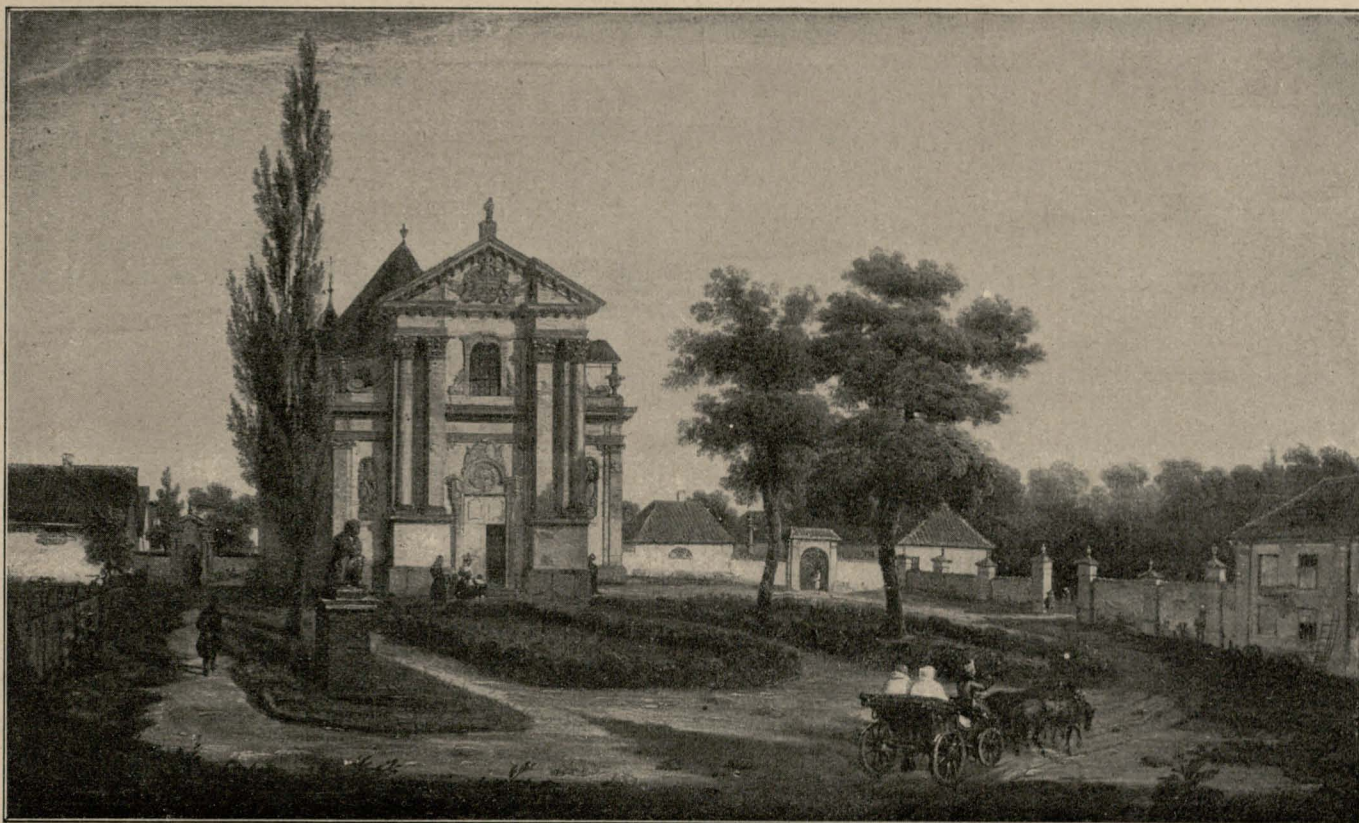
I w tramwaju—nie we śnie na kwiatkach—spotyka Frankę.

Powiem odrazu to, co autorka, jak i stworzona przez nią Franka, bardzo dobrze ukrywa przed czytelnikiem do ostatnich kart książki: Franka jest, co do swej sytuacji towarzyskiej, dziewczką najniższego rzędu. To cała fabuła i cały dramat.

Ale młodzi, tak pospolicie zaznajomieni, podobają się sobie nawzajem. On szukał świeżej duszy kobiecej, ona w tym stosunku nie przymuszonym, pomimo swą powszedniość, niemal poetycznym, odkrywa czar nieznaną, poczyna przywiązywać się i do mężczyzny, i do cichej, pełnej objawień samotności we dwoje.

Pierwsze schadzki—nie wiemy jeszcze o „kategorii” Franki—tchną prawdziwą poezją, wydobytą, zdawałoby się, z niczego, z drobnych, codziennych zdarzeń życia urzędnika od podatków, który ma duszę, i życia szwaczki, która uczy się kochać. Czujemy, że Franka o swych nędznych dziejach mówić nie lubi, a osaczona pytaniami, zapewne trochę i kłamie. Ale to kłamstwo prawie nienaganne, uswięcone przez cel, którym jest biednej dziewczynie chęć podobania się swemu mistrzowi nie tylko fizycznie, podobania się sercem, nowo rozkwitającym pod tchnieniem szlachetnego uczucia. Jednak Krajewski, choć marzyciel, choć może „gobeur”, zbyt jest inteligentny i zbyt krewki, aby nie starać się dociec prawdziwej historii swej towarzyski, tak ładnie przez niego nazwanej „Porankiem”. Więc szuka, śledzi i przechodzi z nami, z czytelnikiem, przez całe typowe piekielko życia nieporządnej dziewczyny i najporządniejszej młodzieży męskiej. Skazone rozpustą dzieciństwo, ohydne dotknięcia nędzy i nałogów, przedajność z głodu, hotele „pod Żółtą Hyeną”—bezbroność młodej istoty wobec świata, urządzonego dla tryumfu pieniądza i męskiej wygody—wszystko to głęboko odczuwamy w obrazowej, scenicznie szybko idącej powieści—a tymczasem Krajewski dowiaduje się stopniowo o prawdziwych dziejach Franki. Stosunek kochanków staje się coraz cięższy; cierpią oboje, kłócą się, szarpią, bo oboje chcą rozpaczliwie wyratować piękność swego uczucia z brudów uprzednich, przylegających.





KOŚCIÓŁ W CZERNIAKOWIE

MARCIN ZALESKI

Zdawałoby się, że wszystko da się odrobić, naprawić. Franka poświęci dla swej maleńkiej „*Vita nuova*” nawet swą batystową „uczciwą” bieliznę; Krajewski przecierpi, lecz wróci do równowagi, zmodyfikuje swe przyzwyczajenia, wyrobi w sobie jakąś filozofię i tę Frankę, wartą lepszego losu, jakoś ocali... Ale tu przychodzi dobroczynna opieka Państwa—policya. Tutaj dopiero dowiadujemy się, że Franka jest zapisana, skategorygowana, zabita, jako wolny człowiek, dla rzekomego dobra innych lepszych i czystszych obywateli. Ta nowina działa w powieści, jak śmierć—kończy opowiadanie materialnym niepodobieństwem dalszego współżycia kochanków.

Streszczona fabuła wydaje się prawie niemożliwą do artystycznego użytku. Ale proszę przeczytać książkę. Prawdziwe rozrównienie chwytą za gardło przy pierwszych rozmowach „Poranka” z „Tatuńciem”; nieklamana poezja miłości wieje z koślawo sformułowanych, a tak wymownych listów. Przytem każdy ką, by najohydniejszy, tchnie artystyczną prawdą; każda postać, która się ledwie mignie—żyje. Stróżka Romanowa ze swą macierzyńsko-kupiecką filozofią! Albo ta Stefka, pierwsza pasażerka w pokoju Krajewskiego, ta harda, opryskliwa, głodna ofiara Konitza! Zdawałaby się niepotrzebną, gdyby z przelotu jej przez izbę, z historii podbijania watą biednego zakietu nie pozostało widmowe wspomnienie nędzy tych cór rozkoszy. Wreszcie paniczny, coraz bardziej zastanawiający czytelnika strach Franki przed policją, jej nienawiść do bezdusznego porządku świata—jest motywem dramatycznym, doskonale wyzyskanym i misternie prowadzonym przez autorkę do tych słów, które nabierają tu strasznego dźwięku:

— Ja rządowa!

Oprócz palm, które zdobyła sobie Zapolska w literaturze, należałby się jej jeszcze dyplom honorowy od stowarzyszenia abolicjonistów.

Gdy się więc kto decyduje na wprowadzenie do literatury gamratki, warto ją traktować tak, jak to uczyniła Gabryela Zapolska. Kochać w niej człowieka, bliźniego; nienawidzić przewrotnych, kurs mających teorii pseudo-etycznych. A przedewszystkiem—wiedzieć prawdę i tworzyć prawdę. Wziąwszy pod obserwację chorą lub upodloną duszę, nazywać podłem, co podłe, chorem, co chore, a ocalać, co może być wzniesione do światła.

System przeciwny — zadziwianie ludzi ostrym zapachem rozpusty, apoteoza genialności ludzkiej w kierunku zwyrodnień — że jest zgubny w swem działaniu na moralność społeczną, nie potrzeba dowodzić. Ale, odłączając nawet wpływ umoralniający od działania literatury, przy takim zapatrywaniu się na świat cierpi poprostu prawda artystyczna, od prawdy życiowej nieodłączna.

Więc drobna, uliczna Franka Wąterek nie tylko wytrzymuje porównanie z tytaniczną Ewą Pobratyńską, ale, jako stworzenie literackie, jest od niej doskonalsza. Tamtą nazwałem znitowanym z dwóch postaci i z dwóch, nierównej wartości śpizów—posągiem. Frankę można porównać do tych małych, przez Fidyaszowe plemię lepionych figurek z gliny, w których zachował się przez tysiące lat ówczesny obyczaj, ówczesny krój i gust panujący; rozmiarami drobna, ale w treść obfita kronika pospolitego życia epoki.

Z szeregu spotkanych niedawno w literaturze typów kobiecych, o których tu mowa, przychodzi na pamięć nieustępliwie i Jagna z „Chłopów” Reymonta. Mówiłem już

o niej w *Tygodniku*. Wprowadzam dzisiaj jej wspomnienie tylko dla okazania, jak różne temperamenty twórcze rozmaicie traktują pokrewny przedmiot. Wprawdzie Jagna nie jest gamratką, lecz grzeszną miłośnicą; można ją tu postawić w rzędzie tylko dla porównania techniki pisarskiej.

Będąc nie całym tematem, lecz częścią pięknego dzieła Reymonta, Jagna czyni wrażenie postaci, malowanej dla wielkiego krajobrazu; skupia na sobie efekty światła, potrzebne dla sensu i nastroju całości. Ale, kunsztem już nie malarza, lecz prawdziwego poety, Reymont zbliża do nas stopniowo tę postać, ciągle do siebie samej podobną, tylko coraz wyrazistszą, ponętniejszą, aż utrwala nam ją w pamięci na zawsze. Ze swego autentycznego piedestału epika nie mówi nam od siebie ani słowa, co sądzi o wartości moralnej, społecznej—takiej Jagny. Wiemy tylko, że Jagna jest piękna, przemożnie kusząca, że jest w swym rodzaju potęgą, zdolną rozkochać całą wieś Lipce i zburzyć te Lipce. Nasza rzecz wyprowadzać sobie wnioski etyczne i społeczne. Jagna jest po mistrzowsku stworzoną—pokusą, ani trochę „kwestya” literacką.

Gdyby się tak udała Ewa Pobratyńska na swych tłach ogromnych, specjalnie dla niej przysposobionych, byłaby zapewne postacią jeszcze większą, jeszcze silniej przejmującą. I szkoda, że mniej się udała, skoro nawet w tej formie dwoistej, nieharmonijnej, budzi szeroką dyskusję, zajmuje i zapala do „kwestyi” grzechu.

Jeszcze bardziej ilustracją do „kwestyi” jest Franka, tylko ilustracją niezmiernie żywą, istniejącą w sztuce sama przez się, rzeczywistą Franką, w tym roku przez szeroką Polskę poznana.





Portret fantazyjny (rysunek piórkciem).

## Rysunki Kościuszki.

Z powodu wiadomości, niedawno ogłoszonej w dziennikach, o znalezieniu w którymś z archiwów rysunków Kościuszki, należy zwrócić uwagę na tego rodzaju pamiątki, znajdujące się w Muzeum Ks. Czartoryskich w Krakowie.

Muzeum to posiada 17 rysunków i akwarel Kościuszki; 3 z nich znajdują się w galerii, wystawione na widok publiczny, resztę przechowują teki, umieszczone w bibliotece. Prócz tych oryginałów, jest jeszcze jedna reprodukcja.

W galerii znajduje się naprzód akwabela, przedstawiająca plan typograficzny fantastycznego zamku Czartoryskich. Rzecz, wykonaną nadzwyczaj subtelnie, poświęcił przyszły bohater narodowy księciu generałowi ziem podolskich, jak o tem świadczy napis u dołu (z boku), ozdobiony drobiazgowo wykończonymi figurkami. Akwabela ta jednak musiała już być, lub miała być reprodukowana, gdyż spotkałem się z jej fotografią.

Drugi rysunek (reprodukcja) to znany portret Jeffersona, „dessiné par son ami Thadée Kościuszko”, a rytowany przez M. Sokolnickiego. Trzecim rysunkiem jest sangwina (rysunek czerwoną kredką), przedstawiający studium (akt) nagiej kobiety.

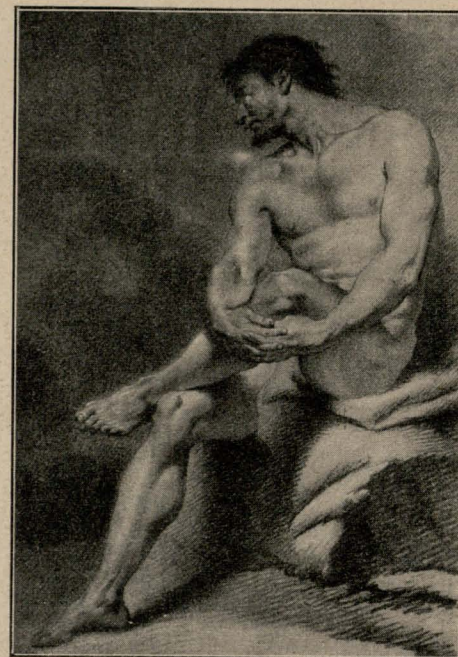
Czwarty wreszcie rysunek to wykonany piórkciem, a robiący zupełne wrażenie sztychu, portret nieznanego mężczyzny w stroju fantazyjnym. Pod portretem tym widnieje dedykacja:

A son Altesse Monseigneur Le Prince  
Czartoriski  
Gouverneur General de Podolie et  
Commandant du Corps de Cadets.

u dołu podpis: „dessiné par Thadée Kościuszko enseigne du Corps”. Ten tytuł (enseigne) wskazuje, że rysunek był wykonany między r. 1766—68, w tych bowiem latach był Kościuszko chorążym korpusu kadetów.

Obok tego portretu wisi drugi tej samej wielkości i nadzwyczaj podobny pod względem wykonania, stąd też uchodzący również za pracę Kościuszki. Tymczasem, jak stwierdza angielska dedykacja Czartoryskiemu i podpis autora, jest to utwór Józefa Cygemberga Orłowskiego, ucznia szkoły kadetów (af the Academie of the Corps of Cadets at Warsaw). Ów Józef Orłowski, późniejszy kapitan gwardii litewskiej, „naśladował zrećnie piórem sztychu” (Rastawiecki). Znajdujący się w berlińskiej galerii rycin jego rysunek, przedstawiający Kleopatę, naśladuje „do złudzenia” sztych Roberta Strangego z obrazu Guido Reniego.

Data portretu Orłowskiego: rok 1765, jego dedykacja, a wreszcie podobieństwo wykonania, wyjaśniają powstanie portretu, rysowanego przez Kościuskę. Widocznie takie kopie ze sztychów polecał wówczas nauczyciel rysun-



Akt męski (rysunek kredką).

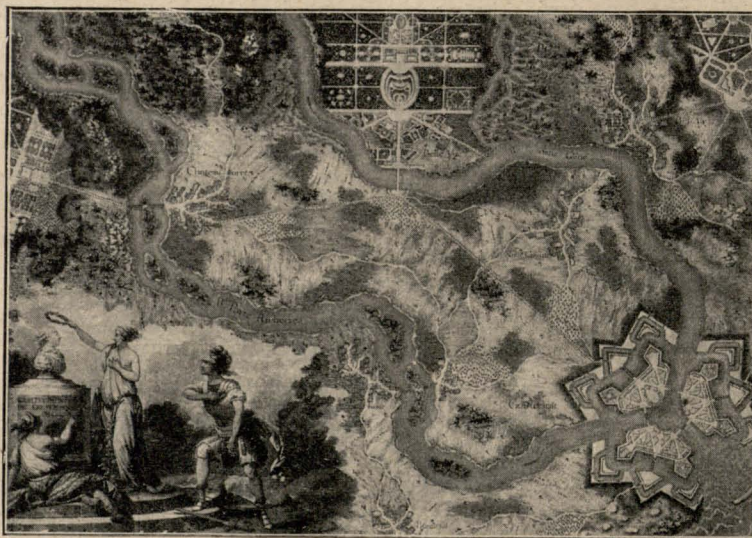
go zachęcił Kościuskę do zrobienia takiego „sztychu”. W tekach mamy przeważnie tak zwane „akty”, wykonane kredką. Jest ich 10, z tych 8 sangwin. Czy te „akty” były oryginalnymi zdjęciami, czy kopiami, rozstrzygnąć trudno. Prawdopodobnie jednak były to kopie z aktów akademii zagranicznych. Prócz nich jest Chrystus na krzyżu, wykonany czarną kredką na niebieskim papierze, są dwie akwarele ruin rzymskich, jest wreszcie widok ruin greckich, wykonany sepią.

Bez względu, czy te wszystkie prace artystyczne Kościuszki (z wyjątkiem plansz Czartoryska), były pracami oryginalnymi, czy kopiami, posiadają one bezwarunkowo wartość artystyczną i świadczą dobrze o zdolnościach tego „kadeta”, którego imię miało wkrótce zastąpić na obu półkulach.

Dodać należy, że Rastawiecki znał akwarele Kościuszki, będące niegdyś w posiadaniu p. Ignacego Rzońcy (Słownik malarzy I, 238). Eustachy Tyszkiewicz widział w Szwecji portrety jakiejś szwedzkiej rodziny, wykonane przez Kościuskę w czasie, kiedy, wypuszczony z twierdzy petropawłowskiej, jechał przez Szwecję do Ameryki (E. T. Listy o Szwecji II, 35).

W Muzeum rapperswilskiem znajduje się akwabela: „Paysage dessin par Kościuszko”.

K. BARTOSZEWICZ.

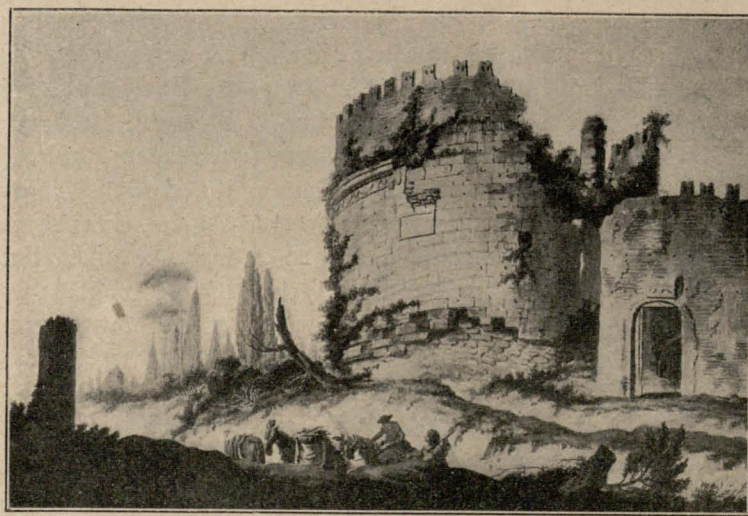


Plan typograficzny fantastycznego zamku Czartoryskich (akwabela).

ków Müller wykonywać zdolniejszym rysownikiem w szkole kadetów, a każdy z nich swój „majstersztyk” składał w ofierze komendantowi korpusu. A może tylko przykład Orłowskie-



RUINY RZYMSKIE (akwarele)



RYSUNKI TADEUSZA KOŚCIUSZKI





PASTERKA

J. P. JACOMB HOOD

ZOFIA DĘBICKA: PASTERKA.

Łąka wiedziała wszystko. Gdy kwiaty pękami  
 Zbierałam, chodząc po niej za memi owcami,  
 I wpinałam w warkocze świeży jaskier złoty,  
 Lub w bujnej ległam trawie, oczami tęsknoty  
 Wypatrując kóz jego, wiedziała, że cudnie  
 Pachnące kwiaty rzucę, gdy przyjdzie południe,  
 Że serce, co przed chwilą jeszcze lękiem drżało,  
 Łowiąc odgłos stóp jego, prawdy znać nie chciało.  
 Że, wychodząc co rano z owcami na hale,

Echa jego piszczałki chwyciłam nieśmiało,  
 Zawieszona na złomach pamiętnej nam skały,  
 Na której mech wilgotny kozy wyskubały...  
 Tak mijały gorące południa godziny.  
 Lica me, niegdyś świeże, jak leśne maliny,  
 Bładły coraz, a oczy, wpatrzone bez końca  
 W ścieżkę, którą przychodził, gdy pod zachód słońca  
 Trzeba było napowrót gnać owce do domu,  
 Zawiedzioną nadzieją łkały pokryjomu.



STANISŁAW SZPOTAŃSKI:

# JAN KOZA.

Z tego odtąd czerpiąc źródła i przywołując na pamięć ogólne tło i warunki życia emigracyjnego, mówić będziemy o Kozie.

Prostym żołnierzom nierównie trudniej było się dostać do Francji, niż oficerom. Żołnierzy



Generał Józef Chłopicki.

zatrzymywano w Prusach przemocą, paszportów do Francji dawać nie chciano, z tych przeto powodów znacznie ich mniej tam przybyło, niż przybyć było mogło. Jak Koza przeszkody ominął, nie wiemy. Może należał do tych pierwszych kolumn, które przeszły najłatwiej, może udało mu się uchodzić za bardziej skompromitowanego, może jakiś oficer, jako służącego, wziął go ze sobą. Dość, że w początkach emigracji spotykamy Kożę w zakładzie w Bourges.

W drodze do Francji, podczas pochodu przez Niemcy umysłowość Kozy wzbogaciła się ideą braterstwa ludów. Koza zanadto był polskim chłopem, aby dla Niemców nie mieć pogardy i obrzydzenia, ale wraz z nim maszerowali ludzie oświeceni, ludzie postępu, ludzie, którzy „uświadamiali” Kożę i zwalczali przesąd, że, póki świat światem, póty Niemiec nie będzie Polakowi bratem. Kiedy Koza przekpiwał Niemców, a po owacyach, urządzanych kolumnom polskim, nieświadom układu sił społecznych i politycznych zapytał:

— Czemu bestye nie przyszły nam pomóc, kiej nas tak kochają?—ludzie ci mówili do Kozy:

— Głupiś, Kozo, sam nie wiesz, co bajesz. Świat dzieli się na dwie połowy: na uciskających i na uciśnionych. Uciskający to są królowie i ich sługi, uciśnieni to ludy, nad którymi oni panują, to my, to ci Niemcy, którzy nas witają. Królowie między sobą, a ludy między sobą są braćmi.

— Ano, może i tak—myślał Koza.

Pod wpływem powyższych rozmów, pod jeszcze większym przyjęciem i kuflów piwa, które mu mieszczanie niemieccy fundowali, wkładała się do duszy Kozy niejaka tolerancja dla niemieckiego narodu. Pomiędzy Niemcami nie został, z Niemkąby się nie ożenił, ale mówił:

— Chcę, aby sprawiedliwość była wszędzie, aby lud się rządził, bo nikomu, nawet Niemcowi, złęgo nie życzę. Niech ino zrobią

rewolucję, a tu wrócę i będę z nimi razem ich króla prał. Niech pludry wiedzą, że darmo ich piwa nie piłem.

W Bourges, dokąd przybył Koza, był pierwszy zakład emigracyjny. Znajdowało się tam kilkuset wojskowych emigrantów, między nimi belwederczycy, podchorążowie, studenci uniwersytetu warszawskiego.

Z podchorążych wymienimy Trzaskowskiego, który sprzysiężonych w dniu 29 listopada prowadził na Belweder, ze studentów wspomnijmy o Janie Alcyato, późniejszym członku Centralizacji i znakomitym pisarzu politycznym, pochodzącym ze znanej włoskiej, w Polsce osiadłej rodziny, o Sewerynie Dziewickim, jednym z przedstawicieli emigracyjnego socjalizmu, późniejszym członku gromady Grudziąż, i o znanym nam już Janie Bartkowskim. Studenci jednak niebawem opuścili Bourges, otrzymawszy od ministra wojny pozwolenie udania się do Dijon, aby w tamtejszym uniwersytecie kończyć przerwane z powodu rewolucji studia.

Na mieszkanie przeznaczono żołnierzom koszary, w których przestrzegali bacznie regulaminu wojskowego. Poczucie organizacji wojskowej i karności nie było się w nich jeszcze złamało, nawiązywali szybko nici ze swoim życiem dawniejszym, urządzili orkiestrę, codzień wychodzili na mustrę za miasto pod komendą oficerów i w ordynku wojskowym maszerowali w niedzielę do kościoła.

Idąc do Francji, podzielili się byli na kolumny, na czele kolumn stanęli oficerowie, znający język francuski, teraz ci naczelnicy kolumn uformowali się w Radę zakładu, która się z wojskową władzą francuską porozumiewała. Że mundury, przyniesione z Polski, dały się, więc rząd dał im niebieskie kurtki i czerwone spodnie piechoty francuskiej.

Szerokie pantalony nie trafiały do gustu przyzwyczajonym do obcisłych mundurów żołnierzom, dbali o elegancję, przekroili je natychmiast, pożądaną nadając im formę. Może



Po kapitulacji Warszawy. Obraz olejny Leona Cogneta.

to już nie była elegancja dla elegancyi. Życie ma swoje prawa, uśmiechy Francuzek mają swoje powaby...

Coraz to częściej widać było samopas spacerujących po mieście wojaków polskich, a spacery te uczyniły im wkrótce nie najlepszą reputację wśród mężów i ojców, później

zaliczyć się nawet poczęto, że w miastach, gdzie przebywają emigranci wojskowi, kobiety na ulicę wieczorem wychodzić nie mogą. W koszarach znalazły się karty, a dla kobiet, które je zwiedzać pragnęły, wstęp był bardzo ułatwiony.

W jakim stopniu Koza w życiu tem brał udział, pamiętniki nam nie powieziały.

Ocalić łamiącą się karność, utrzymać rozpadający się ład było nie sposób. Szlify oficerskie z dniem każdym urok w oczach żoł-



Generał Jan Skrzynecki.

nierzy traciły i straciły go wreszcie zupełnie.

— Cóż to, na całe życie poszliśmy do wojska?—mówili.—Wszyscy jesteśmy tu sobie równi, wszyscy jesteśmy obywatele, władzy niema żadnej, chyba taka, jaką sami sobie ustanowimy.

Idee te zresztą rozszerzali młodzi oficerowie, stając w ciągłej opozycji przeciw oficerom starszym, przywykłym do subordynacji, nienawidzącym rezonowania. Walka partii emigracyjnych, rozszerzając się z Paryża po zakładach, rozbijała znajdujących się tam emigrantów na lelewelistów, bemistów i t. d. Dyskusje stawały się coraz to żywsze, kłótnie coraz to zapalczywsze, pojedynki coraz to częstsze. Koza rozumiał z tego niewiele, wiedział tylko, że ani do legii cudzoziemskiej nie wstąpi, ani do Portugalii nie pójdzie.

Dość mu już tułać się po świecie. Tęsknił. Nostalgia zataczała żalobne skrzydła nad głowami emigrantów, rozpylała w powietrzu zapach polskiego lasu i polskiej ziemi, wszystkimi drogimi głosami, które znali w kraju, wołała: wróćcie! Niejednego serce, omdlałe z tęsknoty, rozpacz chwyciła w pazury i poszarpała w szmaty.

W początkach emigracji samobójstwa były najczęstsze. W lipcu 1836 r. w Mobile, w Stanach Zjednoczonych, zastrzelił się emigrant, Karol Targowski, w lesie; w rękę jego znaleziono rysunek domu rodzinnego z paru słowami pożegnania, zwróconemi ku Polsce. Myśl przedarcia się do kraju, myśl powrotu opanowała Kożę zupełnie.

— Niech się stanie, co się ma stać!

Z kilkoma *sous* w kieszeni, z kijem w ręku, nie mówiąc nic nikomu, nie żegnając się z nikiem, opuścił Bourges i podążył w stronę Polski. Szedł tak, jak wiedział i myślał, że iść trzeba. Zaszedł do Liestal w Szwajcaryi w sierpniu 1833 r. Właśnie wówczas wszczęta się była walka domowa między wiejską a miejską częścią bazylejskiego kantonu. Koza stanął w szeregach wieśniaków, bił się, jakiegoś gwardzistę nieprzyjacielskiego trupem po-



łożył, bo później opowiadać będzie, że nieprzyjacielskiego zabił żandarma.

Zabawiwszy czas jakiś w Liestal, poszedł dalej. Jak szedł, nigdy powiedzieć nie umiał, dość, że, z nikim po polsku dogadać się nie mogąc, błądził po świecie i dotarł do Belgii. Tam go aresztowano, wsadzono na okręt i wysłano do Anglii.

Wczesnym rankiem w Londynie oficer Stanisław Szczepanowski, mając w ręku koszyk z chlebem i mięsem, śpieszył szybko do kwatery polskiej, gdzie wspólnie mieszkało i gospodarowało kilkunastu oficerów polskich. Deszcz lał, jak z cebra, mimo to na jednej z ulic zebrała się gromada Anglików koło dziwnie wyglądającej i usiłującej gestami się porozumieć figury. Szczepanowski zbliżył się także. Człowiek, zwracający uwagę, był brodaty, z rozczochraną głową, bez czapki, w czerwonych spodniach piechoty francuskiej, w szpen-cerku i w podziurawionych pantoflach.

— Nie Polak jesteś?—krzyknął.

Koza w radosnym uśmiechu pokazał dwa rzędy białych zębów i krzyknął:

— Polak, Jan Koza z pod Skalmierzal!

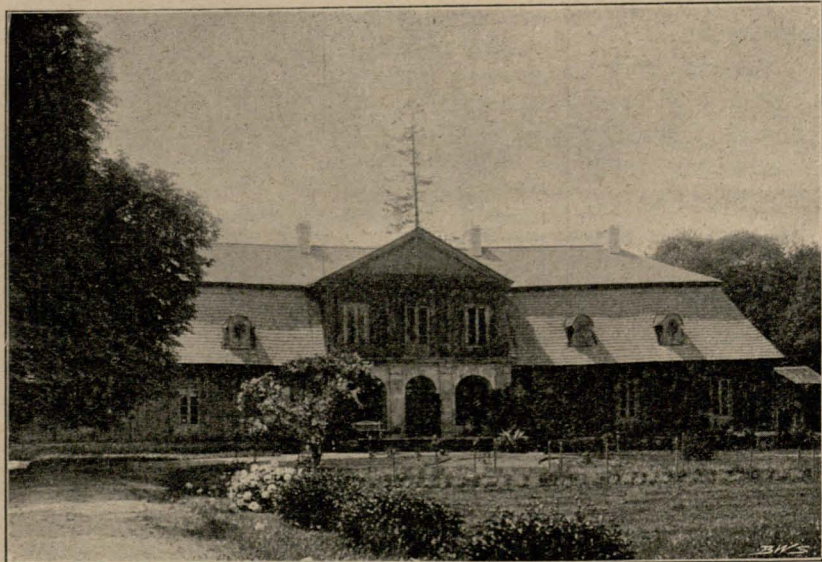
Panowie oficerowie sami ostrzygli Kozę, ogolili, kazali mu się wymyć i przybrać i przeznaczili go na kuchcika, do mycia rondli i talerzy. Sprawował się haniebnie, czystości w kuchni nie utrzymywał, potrawy przed podaniem ich na stół ponad miarę próbował. Ktoby mu tam zresztą kazał po tyłu przygodach i włóczęgach cudze garnki myć!

Gdyby Koza był matematykiem, to zająłby się może obliczeniem, ile razy należałoby powiększyć spoczywającą w nim cząstkę wszechwładztwa ludowego, aby mógł z kuchni przejść do jadalni i razem z oficerami do stołu siadać, jak obywatel z obywatelami, ale Koza nie był matematykiem.

Skoro został przyjęty na listę zasiłku rządowego, Szczepanowski wyprawił go do Portsmouth, gdzie w koszarach przebywało paru set żołnierzy polskich, którzy, zawiązawszy się w gromadę Ludu Polskiego, reprezentowali w emigracji odrębną organizację i socjalistyczną wyznawali doktrynę.

Jeśli Koza tam był doszedł, nie zaginąłby dla nas, nie zaginąłby nawet dla politycznej literatury. Jego imię czytalibyśmy pod manifestacjami gromady Grudziąż, możeby nawet w rodzinne jego strony doszły odezwy do wieśniaków, podpisane jego imieniem.

Ale Koza poszedł w inną stronę. Ostatni raz przyszedł o nim wieści z Liwerpool, a potem ślad wszelki zaginął.



Dwór w Witulinie, miejsce urodzenia Fr. Wężyka.

WŁ. ST. REYMONT:

## Z ZIEMI CHEŁMSKIEJ

WRAŻENIA I NOTATKI.

— Wezmę, ale oddam z dokładką; przecież nie będę klęczący nadstawiał pleców, nie będę pacierzem bronił się przed kijem, nie, na kij znajdzie się kłonica, albo i co lepszego!—wołał gwałtownie, wyzywająco.

— Nie daj się, dużo sam zrobisz, trykaj łbem we ścianę, trykaj!—drwił stary.

— Wszyscy tak już wiedzą, jak i ja. Nie pozwolimy się zarzynać, jak barany!

— Józef prawdę mówi — przymówił znowu brodaty. — Przeżyłem dawne i tak je dobrze pamiętam, że jużbym może nowego nie przetrzymał. Lepiej nam wszystkim poginać odrazu, niżli znowu tak żyć, jak dawniej.

— Naród jest poczciwy i pokorny, nikomu wody nie zamąci, robi, co każą, ale niech go nie drażnią, niech go nie krzywdzą, niech go do dołu nie spychają, bo może być źle! I barany mają rogi! Bóg wie, co się stać może!

— Im się wydaje, że my to co? Nie ludzie czujące? Że my z drzewa i można z nas wyciosować, co się tylko komu podoba! My żywe i żyć chcemy, to się w trumnę po dobrej woli nie położymy, a wdeptać się w nią nie damy.

— Żeby nam przyszło głowy położyć, a nie damy się!

— Bójcie się Boga, jeszcze kto posty-szy i doniesie! Ludzie!—błagał staruszek, bo chłopci już tracili równowagę, siedziel! wprawdzie spokojnie, ale po izbie latały coraz groźniejsze słowa i spojrzenia, a twarze roz-palały się gniewem. Kobieta pod piecem za-szlochała tak głośno, aż ktoś zakrzyczał:

— Mogliście się już przez tyle lat wy-płakać. Nie czas nam na beki a lamenta!

Przycichło w izbie, ale po chwili zno-wu zawrzały rozmowy, zaczęli się coraz szczerzej wywnętrzać, tylko że głosy były już cichsze i trwoźniejsze, a słowa wrywa-ły się z trudem, jakby z pod serca, jakby z utajonych głębin trwogi; smutek przejm-ował dusze i pochylał te bohaterskie, nieule-klę czoła, rozpaczliwy, beznadziejny smutek wyzierał z przymglo-nych łzami oczów.

— Aż strach po-myśleć, co się z nami stanie!

— Nawet kalen-darz mają nam zmie-nić!

— I wszystkie święta przemienią po swojemu, Boże naro-dzenie wypadłoby w styczniu!

— Jakże to mo-że być? Przecież Chry-stus urodził się 24 grudnia, to nie może się rodzić drugi raz w styczniu! Nie może! Nasz polski Chrystus

urodził się 24 grudnia! Jakże... Tego czło-wiek nie zrozumie, choćby jeszcze żył sto lat!

— I gruntów nie będzie nam wolno kupować!

— Za własny grosz i nie będzie wol-no! To już koniec świata!

— A powiadają, że, jak nas tylko od-łączą, to wzbronią mówić po polsku, za ka-żde słowo będzie rubla sztrafu. Nawet w kościele nie będzie wolno księdzu ani ni-komu po polsku! Ani pieśni, ani nic!

— Jezus Marya! Jezus Marya!—zajęcza-ła kobieta, wznosząc ręce do góry.

— Nikt na to nie przystanie, a i księ-za przecież się nie zgodzą...

— Księża też mogą nas odstąpić, jak odstąpili unicy, nie pamiętacie?

— To nie pójdziemy do takich kościo-łów, do lasów wrócim, Bóg jest wszędzie.



Żebrak podlaski.

— A i na takich księży znajdzie się ka-ra! Naródby im tego nie przepuścił!

— A niech nas odstąpią, a niech nas wszyscy opuszczą, a niech nas pozabijają, jak te psy wściekłe, i niech się to już raz skończy! Przecież człowiek dłużej takiego życia nie wy-trzyma! Nie wytrzyma, mój Jezus! Nie wy-trzyma!—zakrzyczał jakiś chłop, łzy polały mu się eiuikiem po wynędniałej twarzy, płakał, jak dziecko.

— I za co to wszystko? Cośmy ko-mu zawinili? Dlaczego?—biadali bezradnie.

— Dlatego, żeśmy Polacy i katolicy!—zawołał wójt.

Naraz siwy staruszek przyklęknął, wy-ciągnął ręce do obrazów i zaczął odma-wiać głośno: „Pod Twoją obronę”.

Cała izba powtarzała za nim głosami pełnymi łez, rozpaczy i błagania. A kiedy się porozchodzili, wójt powiedział:

— Wszyscy się boją odłączenia od Polski gorzej, niżli śmierci. W każdej wsi zobaczy pan to samo, w każdej chałupie i w każdym człowieku.

Bardzo długo nie mogłem zasnąć tej nocy.



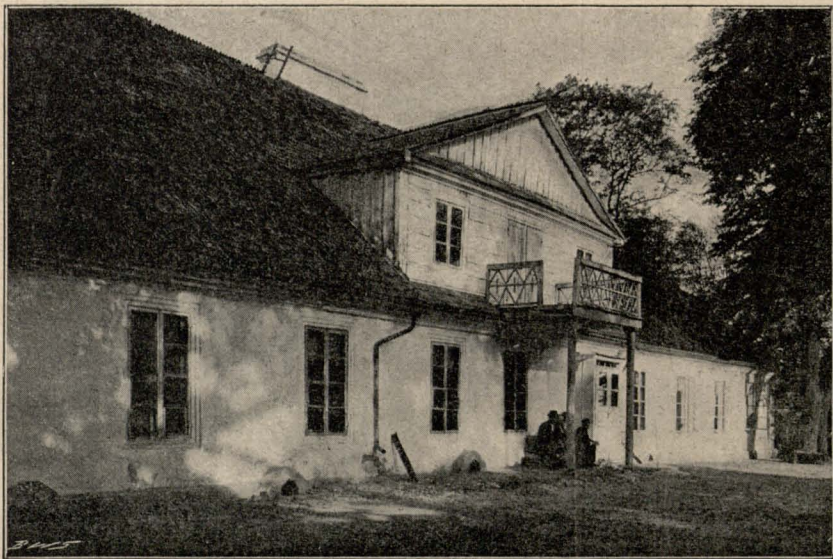
## III.

O świcie ruszyłem dalej.

Jakby w pobożnej pielgrzymce po takich s'acyach polskiej Kalwaryi, jak Łomazy, Piszczac, Biała, Horbów, Pratulín, Janów i tylu innych miejscach, wstawionych cudami chłopskiej wiary i męczeństwa.

I tym krwawym, bolesnym szlakiem, nad którym jeszcze niedawno szalały burze i pioruny, droga ciągnęła mi się kręto i długo, gdyż często musiałem zbaczać do wiosek i folwarków, pogubionych wśród lasów, do chałup, dworów i plebanii, ale najczęściej do chałup, między dawnych „opornych”, między lud, zahartowany w cierpieniach i tak bardzo uświadomiony, a którego znowu czekają nowe, może jeszcze sroższe walki o samo już tylko istnienie.

Przez parę tygodni jeździłem po tych cichych, oprzędzonych melancholią i dziwnym smutkiem ziemiach, gdzie każda wieś była



Dwór w Piszczacu.

przez całe dziesiątki lat niezdobytą twierdzą, każda chałupa okopem walczących do ostatniego tchnienia, i każdy człowiek nieustraszoną bojownikiem świętej sprawy.

A codziennie słuchałem wstrząsających opowiadań o przeszłości, codziennie ktoś mi odsłaniał rany, ledwie przyschnięte, i szeptał zbielałymi wargami tragiczne dzieje swoich najbliższych; i codziennie z żywej, krwawiącej jeszcze pamięci wyносиły się postacie świętych męczenników przerażające sceny „nawracań”, bezprzykładne cierpienia i nadludzkie ofiary.

Długo i boleśnie brzmiały mi w sercu, jakby echa pomarłych płaczów, żalosne echa jęków, i dzikie, rozpierzchnięte odgłosy nahańek, strzałów i skarg.

I snuły się przede mną wciąż, na każdym miejscu i o każdej porze, jakby niezliczone, blade widma pobitych, które, „jak kamienie, ręką Boga rzucone na szaniec”, zwały się w mogilne doły, dając wszystkim żywot na świadectwo swojej wiary niezłomnej i swojego narodu.

I rozumiałem, dlaczego takim smętkiem owiana jest ta ziemia, dlaczego tam słycać nocami płacze na rozstajach, dlaczego bory szumią taką posępną skargę, ptaki śpiewają jakoś smutniej, nawet wichry jęczą żałośniej,

a pod niskim, szarem, skłębionem zawsze niebem ludzie przesuują się cisi, skupieni w sobie, z przytąjonymi płomieniami w oczach, drobni, a pełni żelaznej mocy wytrwania, nieulekli, niezmożeni, bohaterscy.

I wtedy także odczułem w całej grozie i wielkości tę jedyną na świecie martyrologię żywych i umarłych, pisaną krwią i łzami całego ludu.

Ale jeszcze głębiej i jeszcze boleśniej zatargały mi sercem ich pytania, gdy po długich litaniach krwawych wspominań przysuwali się bliżej i szeptali:

— A co będzie, jak nas odłączy? Co się z nami stanie?

Na to może odpowiedzieć tylko cała Polska.

I odpowiedzieć musi, bo to sprawa życia i śmierci dla tych najwierniejszych i najniešťęśliwszych...

A jakie to dusze wzniosłe, bohaterkie i oddane świętej sprawie, niech opowie krótka historia, jedna z tysiąca, fakt straszliwie prawdziwy i rzeczywisty aż do okropności.

W 1874, w roku zniesienia Unii na Podlasiu, na pograniczu powiatów białskiego i konstantynowskiego, w małej wiosce Kłoda, należącej do horbowski parafii unickiej, biedował na paru morgach niejaki Józef Koniuszewski, a że ziemi miał mało

i lichej, to pracowicie dorabiał po dworach i sąsiadach, żeby się tylko wyżywić wraz z żoną, dzieckiem paroletniem i krowiną. Byli to ludzie porządni, spokojni, a bardzo przywiązani do swojego wyznania.

Ale przyszło zniesienie Unii, zaczęto na gwałt nawracać Podlasie i Chełmszczyznę, trafili więc i do Horbowa, spędzili całą parafię pod cerkiew i kazali się wszystkim przepisywać na prawosławie. Nawracanie odbywało się, jak wszędzie, w przepisany z góry porządku i formie. Kto uległ wymowie batorów, kto obietnicom, kto dłuższym siedzeniem w Białej, ale Koniuszewscy, wraz z wieloma ze swojej wsi, nie ulegli, dostali też sporą porogę, a Koniuszewski nawet więcej, niżli drudzy, gdyż żarliwiej i głośniej bronił swojej wiary, a omdlewając pod nahańami, jeszcze krzyczał:

— Polak jestem i katolik! Zabijcie, a nie przejdę!

Nie zabili go, ale za to dłużej musiał się lizać z ran i ciężiej przychodził do zdrowia. A jakby na tem większą niedolę niešťęśliwych na Koniuszewską, będącą w tym czasie już w ósmym miesiącu ciąży, zwrócił szczególną uwagę strażnik i często zaglądał do wsi, rozpytując się bardzo troskliwie o czas jej rozwiązania.

## „Ptak sinopióry“ na scenie.

„L'OISEAU BLEU“ MAETERLINCKA.

Z pewnością najgłośniejsza premiera miniego sezonu...

Kto wystawił tę bajkę o ptaku szczęścia, której rękopis wszyscy wybitniejsi dyrektorowie europejscy „z ubolewaniem” zwrócili autorowi „Monny Vanny”? Oczywiście, nikt inny, tylko sławny już dziś czarodziej moskiewski—dusza „teatru artystycznego”—Stanisławski.

„On wszystko może”—zdawna już powiedziano o tym człowieku nad miarę zapalnym, lub raczej nieustannie gorejącym. Czy wszystko—to się dopiero okazuje. Ale wystawiał dotąd ze zgoła nieznanym przepychem prawdy historycznej trylogię z czasów Godunowa, „Juliusza Cezara”, potrafił wystawić ibsenowego „Branda”, dowiódł światu i słońcu, że o motykach można zapomnieć.

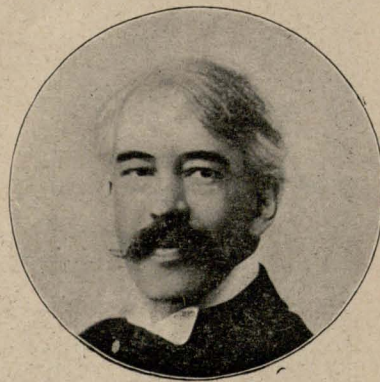
Temi to *hors concours* wystawianemi dziełami zdumiewał dotąd Stanisławski Europę. A że prócz tego zdołał stworzyć na wewnątrz fetysza i pochylić przed nim w zadziwiającej zgodzie kolana kilku czy kilkunastu artystów wielkiego talentu, teatr jego zdobył sobie zgoła indywidualną fizyognomię. Fetyszem Stanisławskiego jest muzyka wewnętrzna, przez którą na wzór, choć nie na sposób Wagnera ma się wydobywać dialog ukryty, lub, jak chciał Przybyszewski: „rzecz w duszach ludzkich”. I to osiągnął. Teatr jego jest niewątpliwie zrzeszeniem nie tylko przewrażliwionych artystów, lecz i mistyków. Dość widzieć jedną chociażby sztukę Czechowa, tego najleśniejszego poety schyłku wieku, aby się przekonać, skąd czerpie soki swe magiczne dziwna ta, egzotyczna jakby w szarej Rosyi roślina, dlaczego tak cudownie rozkwita, łzami perli dusze i wawrzynem chluby narodowej w ciężkich dla ducha czasach wieńczy skroń. Wszak uczucie Rosyanina tak mało znajduje rzeczy, ludzi i spraw godnych ukochania...

Niepodobna na tem miejscu orientować czytelnika w zasadach gry, w repertuarze, w tryumfach i błędach, jakie przyniosło teatrowi Stanisławskiego dziesięciolecie jego istnienia. Powiem tylko śmiało, że lekko wzgardliwe „Meiningeri” nie może przyłgnąć do imienia teatru moskiewskiego. Jest on o całe niebo wyższy od sumiennej i li tylko pracowitej, harmonijnej jedności. Jest takim choćby dlatego, że genialnie i paradoksalnie wymacuje pociemku. I błędząc w mroku—żyje.

Jak błędzi—niech pokaże to rzut oka na sztukę Maeterlincka, do której się przygotowywał przez dwa lata. Jest ona jedną z... trzech premier ubiegłego sezonu.

Krótką treść przydługiej (bajka wtedy jest piękna, gdy jest krótka) bajki. W noc wigilijną dwoje dzieci drwała—Tilti i Mitil—budzą się w swych łóżeczkach. Przez zamknięte drzwi przedostaje się do pokoju stara, zezowata kobieta, podobna do sąsiadki Berlengo, i prosi o niebieskiego ptaka dla swej chorej wnuczki. Ptak ten da jej szczęście, ale musi być niebieski, zupełnie niebieski. Jeśli go nie mają, niech idą szukać. Stara jest wróżką i

wszystko może; darowuje Tilti-lowiczarodziejską czapeczkę z brylantem, który przy dotknięciu go rozjaśnia wybladłe ludzkie oczy i powraca im oglądanie rzeczywistych przedmiotów, ukazuje żywe, a niewidzialne zawzycząj dusze wszechrzeczy, otwiera przeszłość i przyszłość. Chłopiec naciska kamień—i oto dzieją się cuda. Świat żywy i nieżywy, całe otoczenie poczyną materylizować swe „dusze”: zjawia się żywy Ogień, Woda, Chleb, Mleko, Cukier, poczynają mówić zrozu-



K. Stanisławski.





Tiltit i Mitil.

miałym językiem Pies i Kot, i sama wróżka staje się cudną dziewczicą. Daje ona dzieciom przewodniczkę: Duszę Światła. Ta prowadzi je wraz ze wszystkimi ich przyjaciółmi w daleką podróż. Szukają więc dzieci niebieskiego ptaka w Kraju Wspomnień, w Kraju Umarłych, którzy w rzeczywistości tylko śpią, szukają w pałacu Nocy, wśród okropności i upiorów, szukają w lesie i omal nie giną od kłów dzikich zwierząt, co wraz z drzewami sprzysięgły się na ich zgubę, i tylko wierność Psa ociąża straszny los, jaki ich miał spotkać, a Dusza Światła w sam czas spieszy im na pomoc. Szukają wreszcie w państwie nie narodzonych dusz. Najpiękniejszy to obraz, przepojony muzyką platońskiej filozofii i przypominający dawnego Maeterlincka, autora „Skarbu pokornych” lub „Wnętrza”.

Ale ptak sinopióry, złapany w tych sferycznych regionach, zbudowanych na kształt Raju Dantejskiego, różowieje, a tem samem traci moc czarowną. I oto po długiej pielgrzymce wracają dzieci do domu z niczem. Budzą się znów w pościółkach, ale teraz już inaczej widzą wszystko, co je otacza. Wszystko jest pełne tajemnicy, bo wszystko żyje. W klatce nad oknem siedzi gołąb, zapewne ten właśnie niebieski ptak, którego szukali napróżno... Przychodzi sąsiadka Berlengo, tym razem prawdziwa, i prosi o ptaka dla rozerwania chorej wnuczki. Dzieci oddają gołębia staruszce, pragnąc uszczęśliwić chorą biedaczkę... Ale ptak, niebacznie wypuszczony z rąk, wymyka się i ulata. Nikt na świecie już go nie złapie. I biedny Tiltit z wiarą w sercu i łąz w oku



Noc.

zwraca się do publiczności: „Proszę państwa bardzo, jeśli znajdziecie gdzie naszego ptaka, dajcie go nam—on jest nam bardzo, bardzo potrzebny”...

Punktem wyjścia dla scenicznego „rozwiązania” pomysłu poety posłużyła Stanisławskiemu *prawda artystyczna*. Jak wcielić to, co się uchyla od oczu i uszu ludzkich i co tylko spirytyści z dumą demonstrują na zdjęciach fotograficznych? Oczami dziecka musimy spojrzeć, a wówczas realną wyda nam się „dusza” bochenka Chleba, zaprawionego na noc w dzieżce, który przelewa się przez obielony mąką brzeg naczyń i wyłazi na świat w postaci białego brzuchacza w szlafmycy; realną, płynną, a więc mokrą i rozlewną dusza Wody lub Mleka, które „wylewają się” w kształt dziewczic o stalowym lub białym płaszczu, o długich, spływających ku ziemi i po podłodze krawędziach; nie zadziwi nas ani na chwilę zjawienie się „duszy” głowy Cukru, co przedziera się z papierowej torby i t. d. Prawda artystyczna bowiem to w danym wypadku sprowadzenie niemożliwości realnych do



Czas\_i dusze nie wcielone.

warunkowej, naiwnej dogmatyki zaczarowanych oczu dwojga dzieci, dla których właśnie tak, a nie inaczej, istnieje świat zjawisk. Poza tem inwencja plastyczna, okraszona obficie bajkowym humorem, przedzierzga wyrafinowanego aktora w plamiastego Psa, którego ruchy, głos i cały *façon d'être* zdradzają znakomite przestudyowanie charakteru tego najlepszego przyjaciela człowieka, podobnie jak opięty w aksamity i wykrochmalony Kot jest idealnym wcieleniem w kształt ludzki kociej perfidy. Szereg zwierząt domowych, jak Krowa, Wół, Osieł, Kogut, Królik i t. d., upostaciowanych ze znakomitą finezyą i bez przesady (wyłączając parę scen zgoła trywialnych)—to epizody tylko bajki, będącej wybuchem pomysłowości plastycznej, dowcipu i... mozołnych studyów spostrzegawczych na miarę Leonarda.

Otóż na tem polega *stylizacja*, lecz tu się nie kończy. Autor wprowadza na scenę drzewa, a zobrazowanie ich w transpozycji na osoby żyjące, poruszające się i przemawiające—przeszło siły trupy Stanisławskiego. Scena w lesie, w której zwierzęta knowią spisek przeciw dzieciom, jako przyszłym posiadaczom ptaka sinopiórego, jest w oryginale banalna, racjonalistyczna, zrobiona. Wszelka dalsza robota nie pomaga nic a nic sytuacji, nadającej się zaledwie do baletu, lub feeryi ogródkowej. Jakże daleko Maeterlinckowi do wzbudzenia nastroju *Waldeinsamkeit*, uduchowanie lasu, jak u romantyków lub w genialnej idylli „Zygtryda”...

Jeżeli jednak z pojedynczemi kreacjami plastycznymi można się nie zgodzić, a niektóre, jak Krowę, Świnę, Osła (co za poświęcenie ze strony aktorów, którzy nic poza tymi rolami nie grają...), stanowczo uznać za balast, to dla strony czysto malarskiej i dekoracyjnej trudno znaleźć



Zając.

dość słów podziwu. Pozostanie tajemnicą kulisów i pracowni Stanisławskiego cały czar, jakim przepaja widza w scenie przemiany ubogiej chaty drwala na lśniącą brylantami komnatę, w której nagle życie wstępuje w każdą rzecz, wprawia w ruch wszystkie sprzęty i, niby psy z łańcucha, spuszcza godziny z zegara. Te i wiele innych obrazów trzeba widzieć. Technika, doprowadzona aż do absurdu, chwilami olśniewa i porywa w świat marzenia, które stają się ciałem, czasem złości, oburza i ciśnie na usta pytanie—dla sceny tragicznej—co dalej?...

Dalej pustka. Sztuka chwieje się, pękają glińiane jej podstawy i rozpryskuje się kolos Stanisławskiego w przepaść. I cóż, że oczarował nas, spędzając za kulisy legion mechaników, tuzin kinematografów, latarni magicznych, maszyn elektrycznych?.. Wszak to nie Chatelet paryski, lecz wielka scena, od której wymagamy czegoś więcej, niż od widowisk, obliczonych na motłoch lub... milusińskich?

Stanisławski nosi się wciąż z zamiarem „pośłużenia polskiej sztuce”. Marzy o „Bolesławie Śmiałym” lub „Kłątwie”. Jeśli znajdzie się wśród poetów rosyjskich śmiałek, który pozyska dla ich literatury tragedję polskiego poety (a myślę też o „Bazyliście Teofanu” Micińskiego)—ziści się wówczas jedna z najpiękniejszych, najszczerzych tęsknot rosyjskiego ducha: zajrzenia wgląd duszy polskiej nie przez szkła polityki i konwencyonalnych sympatii, lecz oczyma wspólnego ukochania i natchnienia.

TADEUSZ NALEPIŃSKI.



Ogień.



## DOMY WŁASNE.

Nie pękła jeszcze dotąd obręcz forteczna, tamująca swobodny wzrost i rozwój Warszawy. Zaczyna się jednak powoli w warunkach istniejących ruch, zmierzający ku wyzwoleniu miasta z jego dotychczasowej ciasnoty. Przykład Drezna, Zürichu, Karlsruhe, Charlottenburga, nade wszystko zaś przykład okolic podmiejskich Londynu wysunął u nas na czoło sprawę obdarzenia Warszawy nową dzielnicą—dzielnicą willi. Sprawie tej nadały nadto aktualność: nadmiernie szybki w obrębie miasta wzrost renty gruntowej i spekulująca na tem dążność właścicieli domów do nieustannego podnoszenia cen za lokale.

Warstwy uboższe i średniozamożne, które, składając niepomiernie wysoką część swoich zarobków na ołtarzu „lichwy mieszkaniowej”, obniżają przez to poziom swojego życia kulturalnego, muszą szukać za miastem ratunku przed wyzyskiem i oglądają się coraz gorliwiej za odpowiednim terenem dla urzeczywistnienia swoich projektów.

Nadto wabi je coraz silniej myśl o posiadaniu własnego domu, tych czterech ścian trwałych, które położyłyby kres ciągłej tułaczce, ciągłemu koczowaniu z domu do domu, z dzielnicy do dzielnicy.

Tęsknota do tego, aby nareszcie być *u siebie*, zapewnić sobie na starość spokojny dach nad głową i przekazać rodzinie siedzibę, w której będzie choć trochę atmosfery tradycyjnej, łączącej pokolenie z pokoleniem, wzrasta z dniem każdym.

Imię tych, którzy pragnęliby tego dopiąć, jest legion. Niestety jednak, ogromna większość nie posiada środków na samodzielną budowę własnych domów. Mogą oni osiągnąć to jedynie drogą zrzeczeń lub drogą sfinansowania takiego przedsięwzięcia przez wielki kapitał, szukający lokaty w małych domkach podmiejskich, sprzedawanych następnie na raty. O powstawaniu takich spółek budowlanych chodzi już wieści. Mówią nawet o milio-nowym konsorcjum. Brak tylko dotąd odpowiednich terenów i będzie ich brak długo jeszcze, jeżeli miasto sprawy tej nie weźmie do serca i nie zapewni przyszłej dzielnicy willi dogodnej komunikacji tramwajowej, bruków, oświetlenia, wodociągów i kanalizacji. Tylko bowiem w tym wypadku nowa dzielnica podmiejska zabuduje się szybko i stanie na wysokości swoich zadań.

Dla miasta nie jest to rzecz obojętna, zwłaszcza, że Warszawa stanowi wyjątek wśród wszystkich większych miast Europy i nie ma naprawdę dzielnicy estetycznej, zdrowej, ładnie zadrzewionej i wysuniętej poza kamienny pierścień śródmieścia.

Banalne, koszarowe jej domy, stłoczone w jedną masę i zaludnione tak, że niejedyn z nich odpowiada liczbą swoich mieszkańców małemu miasteczku, męczą nas coraz bardziej i coraz większą budzą tęsknotę do form lżejszych i bardziej odpowiadających wymaganiom piękna, którego wśród murów miejskich tak mało.

Architektura, oddana na usługę spekulującym przedsiębiorcom i mająca dziś za cel główny jak najpłataniejsze dla kapitału wyzyskanie miejsca, przestała być u nas sztuką. Pożądane zaś dla jej rozwoju pole da niewątpliwie budowa małych, estetycznych willi i dworców podmiejskich w stylu rodzimym, przypominających *en miniature* dawne dwory wiejskie, z którymi łączy nas jeszcze dzisiaj sentyment wspomnień. Sztuka, wyklęta z budownictwa, znajdzie tu zastosowanie, bo właścicielowi własnego domu, *domu dla siebie*, nie będzie już chodziło o dochód z placu, ale o miłe dla oka wrażenie. A więc i z tych względów budzący się ruch woła o poparcie i dopomina się bliższej uwagi.

Z. D.



Sadownicy wiejscy.

## W SADZIE...

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Pamiętam ja z dziecięcych lat, w dziedzictwie mego dziada rok w rok fruktowy trzymał sad Żyd stary, Boruch Szpada.

Oddawna mieszkał pośród nas i na wsi się urodził. Pilnował sadu w letni czas, a zimą handlem chodził.

Pamiętam, mleczną brodę miał i chałat za ubranie, a choć go dziaduś druhem zwał, on mówił: „jaśnie panie!”

Pamiętam... My wracamy z szkół... Już Boruch pod dwór lecił! Kiwa jarmutką, gnie się w pół, cmokając:—Nasze dzieci!

My—prosto z wózka za nim w sad... na agrest lub porzeczkil on głaszczce brodę, taki rad:—Paniczki! aj! paniczki!

I co najśodszy owoc rwie, maliny i wisienki, a potem chwyta skrzypki swe i śliczne gra piosenki. Czasem przyśpiewkiem nucił w głos, do taktu wtórzając pieśni, że aż mu na pierś spłynął włos, jak kwiaty po czereśni.

I tak nas witał szereg lat, w wakacje czy to święta, grając, śpiewając, wodząc w sad i dając nam prezenta.

Pamiętam... potem... w kilka lat nie stało mego dziada.

Lecz po dawnemu trzymał sad Żyd stary, Boruch Szpada.

I zawsze dobre słowo miał i uśmiech dla panicza.

I nieraz w sadzie łzami się, gdy czytał Mickiewicza.

Lecz i dla niego z biegiem lat nadeszła snadź godzina...

W jesienny ranek zaszedł w sad i zasnął, starowina...

Był na kirkucie szlachty tłum,  
I ludu szła gromada,  
Choć zmarł nie krewniak, brat ni kum,  
Żyd prosty, Boruch Szpada!

Ale to się miało dawno, bardzo dawno... Nie było jeszcze Tow. Ogrodniczego, nie było „Bagateli”, w której grywa teatr w... żargonie!

Wprawdzie i dziś po sadach, pomimo istnienia różnych spółek owocarskich, zostali jeszcze „sadownicy”. Lecz to już nie owi Boruchowie.

I nie do wspomnień młodości odnoszą się zamieszczone ilustracje. To typy dzisiejsze.

Ale, mimo wszystko, to dawniejsze żyje we wspomnieniach, w pamięci, widzi się, jak na jawie...

Widzi się...

Wieś jesiennym słońcem wyłożona. Sad wedle dworu. „Drzewa owocowe, posadzone w rzędy”. „Jabłonie i grusze podpórek aż proszą, tyle tam i jabłek, i gruszek”... Winiówki, bery, małgorzatk, panny, sapieżanki, duszesy, sztetyny, renety, kalwiny... I śliwy węgierki, owocem granatowym osypane.

W sadzie ruch, bo właśnie dwór „wymiar” bierze. „Wymiar” to przywilej dziedzicki. Ona jest najwyższym sędzią co do dobroci, miary i jakości owocu.

Sproszona ze wsi dziatwa trzęsie, obrywa... Spinają się chłopaki po pałąkowatych jabłonkach, po rozłożystych gruszach. Żerdki i kulki w ro-bocie.

Śmiech i gwar!

Szczęśliwi! mogą najeść się, bo podczas „obrywania” nikt nie broni.

A za parkanem ogrodu inna gromadka dziatwy wiejskiej. Przygląda się, i aż jej ślinka idzie z zazdrości.

Tamci w sadzie objędzą się różności—jej tylko polne ulęgałki przypadną w udziale.

Tak bywa i dzisiaj o złotej jesieni na wsi polskiej w dworskim sadzie.

Tylko Boruchów już niema... Niema!

KAZIMIERZ LASKOWSKI.

Z WYSTAWY BIAŁSKIEJ.



Posel Mikołaj Lwow, który przybył badać miejscowe stosunki, rozmawia z działaczami polskimi w Białej.



## WYSTAWA ROLNICZA W WOŁKOWYSKU.



- 1) „Emma”, klacz p. J. Tołłoczki (medal srebrny).
- 2) Główna brama wystawy, pomysłu W. hr. Mączyńskiego.
- 3) Obora Simental p. J. Bronica z Meysztowicz (medal srebrny).

- 4) Widok gór szwedzkich w Wołkowysku. Teatr i kioski.
- 5) Chata poleska ze sprzedażą cukrów i kwiatów na rzecz Tow. Dobroczynności.
- 6) C. hr. Krasicki, prezes wołkowyskiego Tow. Rolniczego i Syndykatu.

## Wystawy prowincjonalne.

Corocznie o tej porze odbywają się w szeregu miast powiatowych pokazy miejscowe prowincjonalne. Niepodobna prawie uwzględnić wszystkich—tyle ich bywa. Wybieramy dziś z nich dwa.

Na ziemi zagrożonej, na ziemi, która może niebawem już będzie oderwana od Królestwa, w Białej Radziwiłłowskiej, odbyła się 26 września wystawa powiatów okolicznych.

Wystawę tę z kilku względów można uznać za wzorową. Najpierw zorganizowano ją niezmiernie małym kosztem i bez deficytu, mimo to była bardzo ładna i gustownie urządzona, a to dzięki pracy pań, które najgorliwiej uczestniczyły w dziele stworzenia i przyozdobienia wystawy. Następnie, mimo zwykłych, tendencyjnie rozpuszczanych plotek, o grożącym jakoby podwyższeniu podatków po wystawie, udział włościan okolicznych był bardzo znaczny, zwłaszcza w wystawie koni oraz przemysłu ludowego. Tu włościanki wy-

stawiły swoje wyroby za pośrednictwem dworów i dowiodły nimi, że przemysł ludowy na ziemi siedleckiej stoi bardzo wysoko. Wreszcie podnieść należy znaczny udział włościan wśród zwiedzających.

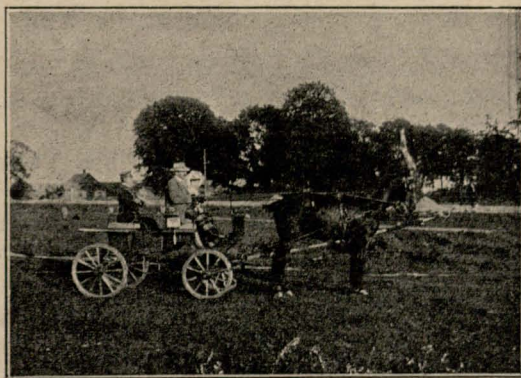
Słowem, wystawa białska spełniła swoje za-

danie w zupełności, a zasługa za to spada na komitet, bardzo liczny, z którego wymieniamy tylko prezydium: p. Leona Szeliskiego z Terebelli (prezesa), p. Wandę Kuczyńską z Koroszczyzna (viceprezesa) i p. Leokadyę Wołodkównę z Białej (sekretarza).

\* \* \*

W dniach 11, 12, 13 września odbyła się wystawa rolnicza w Wołkowysku, mieście powiatowym gub. grodzieńskiej, pod prezydencją p. Juliana Tołłoczki z Werdomicz, jednego z bardziej wybitnych obywateli gubernii. Inicytywa tej wystawy, bardzo udanej, pierwszej w gubernii, wyszła z Sekcji Pracy Kobiet i została poparta przez miejscowe towarzystwo rolnicze, które pracuje pod przewodnictwem Czesława hr. Krasickiego.

U stóp okopów szwedzkich rozstała się ładna wystawa, wraz z teatrem, w którym grono amatorów odegrało kilka sztuk na dochód miejscowego Tow. Dobroczynności, które też wystawiło swe tanie kuchnie i wyroby słoju.



Zaprząg pp. Nostitz-Jackowskich, nagrodzony na wystawie w Białej Podlaskiej.

## WYSTAWA ROLNICZA W BIAŁEJ.



Widok ogólny.



Pawilon główny.

Fot. K. Smoleński.



## NA POCZTÓWKACH.

WRAŻENIE NIECO

XIII.

Berlin.

Sąsiedzi moi wiejscy, dwaj bracia rodzeni, uchodzili w okolicy całej za nieuleczalnych dziwaków.

Opowiadano o nich, że, przybywszy raz do sąsiedztwa w gościnę, zerwali się nagle od obiadu, oświadczając krótko i węzłowato oszołomionemu towarzystwu:

— Jedziemy do Frankfurtu!

Skłonili się—i pojechali. Nikt nigdy powiedzieć nie umiał, co ich przynagliło.

Gdym kuryerem extra-szybkim doleciał wczoraj do... Frankfurtu nad Odrą (niestety; nie „nad Menem”), zdawało mi się, że jakby, jakby... zrozumiał owych niespokojnych braci, potrzebujących nagle przebieść się po Europie.

Lecz—nie o tem...

Pytałaś mię niegdyś pani, co znaczą u rozległych przedmieść Berlina te jakby szachownice ogródków, a każdy kwadrat oddzielny, ów z altanką, ów z szałasikiem, a inny nawet z domeczkiem, skleconym z desek?

To całe kolonie „własnych miejskich posiadłości” robotników berlińskich. To własne ich grunty. Ot, obszar średniego pokoju, ale rodzina cała, czasu lata, bawi tam na willegiaturze. Wyciąga za miasto *ins Grüne*—do własnych dóbr. Sadzą tam i warzywa, i kwiaty i biesiadują w altanie... A z jakim pietyzmem każdy pielęgnuje, każdy upiększa „swój „kawałek”!

I pociąg kuryerski, zwolniony nieco biegu, sunie równo, gładko, obojętnie mimo tej przedziwnie rzewnej, serdecznej, skulonej pod progiem stolicy, zieleni i kwieciami przytrząśniętej—szachownicy szczęść ludzkich...

XIV.

Berlin.

Nie wierz pani, chociażbym Ci to sam kiedy wyznał, że w przedziale ekspresu Bukareszt-Berlin miałem za jedyną towarzyszkę piękną, młodą damę, pełną gracy i powabu.

Nie wierz, że zwała się Irma Amorescu i że ojciec jej jest ambasadorem rumuńskim w Madrycie, że oczy odziedziczyła po matce Hiszpance, z wysokiego rodu hidalgów kastylskich.

Nie wierz, choćbym w chwili skruchy i uniesienia miał wyznać Ci to kiedy własnymi ustami, że łącznikiem między nami stał się niegodziwy pamflet Bartelsa o Henryku Heinem, książka grubiańska i niecna, którą—m, do połowy nie przeciętą, cisnął przez okno wagonu.

Nie wierz, że tak drobny wypadek zdradził pokrewieństwo dusz naszych, i że w niespełna godzinę

potem, w oszołomieniu, z którego dziś dopiero zdaję sobie sprawę, wyrwała mi się z ust strofa Heinego:



*Gnädiges Fräulein erlaubt  
Mir, kranken Sohn der Musen,  
Das ruhe (—so! —) mein Dichtershaupt  
Auf eu'rem Schwanenbusen...*

„So” było najzupełniej zbyt i w oryginalne go niema, ale uważał za wskazane przystosować deklamację jak najściślej do sytuacji—aktualnej.

— Na pomoc! — zawołała przyciszonym głosem moja urocza towarzyszką podróży.

Ale ty, pani, nie wierz temu...

Bardziej jeszcze nie wierz, że odrzekł:

— Zaklinam cię, piękna, nie troszcz się uprzejmie o pomoc! Czuję, że sam bez niczyjej pomocy dam sobie radę.

Nie, droga. Żadna urocza Rumunka, półkrwi Hiszpanka, nie rzekła mi na skrzyżowaniu dwóch linii kolejowych: „Uchodź! uchodź,



nieszczęsny! Nie powinniśmy się nigdy więcej spotkać w życiu”...

Natomiast naprzeciwko mnie siedział w szarym, podróżnym garniturze doktor ze Sztetynu, mający rodzony brata, gospodarującego na Śląsku, i tłumaczył mi, nie bez pewnej gruntownej rozwlekłości, że domniemana okupacja Królestwa Polskiego przez Niemcy jest wierutną bajką, puszczoną w obieg przez jednego z niezliczonych wrogów Niemiec, t. j. ich potęgi na lądzie i morzu.

— Na karkbyśmy natychmiast ściągnęli sobie Francję i Anglię — mówił. — Byłoby to rozpętanie olbrzymiej wojny europejskiej; ucierpielibyśmy srodze sami; terytorjalne aneksje są nam niepotrzebne; dość ambarasu mamy z Poznańskiem, aby nie wzdychać do posiadania w granicach państwa jeszcze większej liczby Polaków. O zajęciu Królestwa Polskiego nikt, zaręczam panu, w Niemczech nie myśli. A najmniej sam nasz cesarz, najmałdrzejszy z polityków współczesnych.

Tak mówił bardzo inteligentny i obyty ze sprawami publicznymi doktor szczeciński, wracający z polowania w dobrach brata swego na Śląsku.

XV.

Berlin.

Pojęcia pani mieć nie może, jakby mi się i żyć, i umierać nie chciało—pod Katowicami!...

O Golkondo „czarnych dyamentów!” O te kominy, to mrowie ludzkie, zapadające pod

ziemię i wynurzające się na powierzchnię, ta wściekła, utylitarna proza osad i miast, połączonych ze sobą nie tylko siecią tramwajów elektrycznych, ale tem wiecznym kipieniem nieubłaganej, pożerającej wszystko inne, walki o byt... te dymy czarne, snujące się kłębam nad gorejącymi, jak piekła, ogniskami ciężkiej, ogłupiającej pracy nadludzkich i nieludzkich istot...

I szedł pociąg mimo całej masy falansterów robotniczych, owych koszarowych, ponurych kamienic, zięjących szeregami okien.

Czarno-czerwone, jednostajne, budowane z jedyną tylko troską: o moc węglów i nieprzeciekanie dachu. Straszne więzienia, w których żywoć pędzą wespół z mężem i ojcem—żona i dzieci.

Równina usiana dymiącymi kominami, a na wydmach to tu, to owdzie garść tych więzień... Ani drzewa, ani kawałka murawy, ani łąty piasku, ani sążnia ogródka, gdzieby ot, choć dzieci—mogły być dziećmi.

Życie w pierwszej lepszej koszarce kolejowej jest rajem w porównaniu z bezdenną niedolą takiego istnienia!

Stado biednych, zamęczonych ludzi...

I te państwa, które miliardy przetapiają na kule armatnie i karabinowe, państwa, utrzymujące na stopie bojowej armie kosztowniejsze, niż najwyuzdańszy zbytek, one wszak pozwalają, aby tysiące ludzi marniały w takich oto oborach i stajniach, wznoszonych chyba dla bydła, a nie dla ludzi.

No, cóż? Ciepło; mur gruby; dach jest; okno jest... Czego chcieć więcej?

A na „zbytki”—oho! kłóży się tam wykosztowywał! Wojna... a—to co innego. Nie ma ofiar, którychby na nią łożyć nie należało.

Żołnierz powinien być syty, wypoczęty, ciepło, to znów lekko odziany, no—i pięknie, aby było czem na rewiach pochwalić się przed sąsiadami.

Zaś—robotnik?...

Słuchaj! Gdyby tak mieć milionerskie pieniądze i ludziom tym pobudować choćby najskromniejsze, ale oddzielne zagrody, takie *cottage* angielskie!... Nic, tylko domek, drzew bodaj para, skrawek ogródka, placik jakiś dla dzieci...

Niechby ciężko i najciężej *on* pracował tam pod ziemią, ale niechby miał gdzie wy-



począć, niechby miał gdzie usiąść na przyźbie własnej chaty, niechby mu w oczach nie marniały żona i dzieci, niechby miał choć od czasu do czasu bodaj błysk *człowieczego* szczęścia!

Pozdrowienie wam serdeczne, bracia! Przyjdzie czas, że i wasza odmieni się dola, jak inną stała się już tych, których postęp ludzkości dotknął w swym pochodzie.



# TEATR MAŁY

POD NOWĄ DYREKCJĄ.

Rozmowa z p. K. Zalewskim.

Od połowy bieżącego miesiąca Teatr Mały, którego trupa daje przedstawienia w małej sali Filharmonii, przechodzi pod dyktando znanego literata i krytyka, znakomitego komedjopisarza, p. Kazimierza Zalewskiego.

Było rzeczą ciekawą dowiedzieć się, z jakimi zamiarami, z jakim planem rozpoczyna dyrektor Zalewski swoją nową pracę. Udaliśmy się więc do niego, aby zamiary te sam czytelnikom *Tygodnika* przedstawił.

— Pragnę—mówił—aby teatr mój był teatrem młodych, młodych artystów i młodych autorów. Nasze teatry dotychczasowe cechowała rutyna, szablon. Pozostaliśmy znacznie w tyle poza Europą, artyści nasi wykazują mało siły twórczej. Od kogóż możemy oczekiwać odrodzenia? Oczywiście — od młodzieży. Dlatego biorę artystów młodych, nie zmanierowanych, a z poprzedniej trupy Teatru Małego zatrzymuję tylko siły najmłodsze i najlepsze...

— A jaki będzie repertuar, panie dyrektorze?

— Moje pierwsze kroki będą dalszym ciągiem przedstawień utworów literackich, ciekawych, ale w niczem jeszcze nie zaznaczą kierunku. Na pierwszy ogień pójdzie „Mentor” Fredry syna, przez długie lata stale zakazywany. Potem z repertuaru teatru Molière’a najładniejsza komedia Capusa „Nasza Młodość”, dalej „Kandydat na profesora” (Probekandidat), doskonała, interesująca satyra na stosunki szkolne Maksa Dreyera, „Bieg z pochodniami” Hervieu, „Margrabia Kleith” Wedekinda, „Ślicznotka” Najdienowa. Te nowości wraz ze wznowieniami sztuk z dawnego repertuaru Teatru Małego zajmą mi czas do Nowego Roku. Da mi to możliwość przygotowania dekoracji, zapoznania się technicznego ze sceną i przystosowania jej do właściwego repertuaru wolnej sceny, jaki od tego terminu grać będę.

— Co mianowicie?

— Tytułów tymczasem panu nie podaję. Grać będę rzeczy Richepina, Maeterlincka, Eckhar-

da, Picarda, Kraussa, Hofmannsthal’a i innych. A do tego autorowie polscy. Otwieram im szeroko drzwi. Niech piszą. Będą przyjęci z otwartymi rękami. Teatry rządowe mają, ograniczoną ilość sztuk, które wystawiać mogą, i są z natury rzeczy skrupowane, jako instytucja biurokratyczna i machina ciężka. Tymczasem u mnie znajdują zawsze pole do popisu...

Mały pod nową dykcją będzie przedstawiał typ inny, niż teatry rządowe?...

— Naturalnie. Będzie zbliżony do scen niezależnych. Będzie odbywał ewolucję artystyczną równomiernie z teatrem europejskim. Tego było zawsze brak naszym teatrom rządowym. Słaby rozwój sztuki aktorskiej u nas pochodzi stąd właśnie, że nie odbywaliśmy żadnej ewolucji. Braliśmy tylko wzory gotowe z zagranicy. Młode sceny cały kierunek symbolistyczny pozostał u nas bez wpływu. Zostaliśmy na boku. Nawet z bogatego plonu Maeterlincka wybraliśmy to właśnie dzieło, które najbardziej zbliża się do utartych szlaków: „Monnę Vanne”... W usiłowaniu moich chcę podkreślić i podkreślam dążenia do nowożytności repertuaru i nowego typu gry aktorskiej...

Żegnaliśmy dyrektora nowego, zostawiając go pełnego otuchy i wiary w przyszłość.

Jeżeli zdoła wykonać wszystkie zamierzenia swoje, zasłuży się dobrze teatrowi polskiemu i zapewni lukę, która dawała się u nas odczuwać oddawna: brak teatru o nieco wyższym poziomie literackim.

W tej myśli można życzyć p. Kazimierzowi Zalewskiemu jak najlepszego powodzenia.



GRUPA ARTYSTEK TEATRU MAŁEGO.

Rząd górny: J. Sachnowska, L. Pytlińska, M. Kamińska. Rząd dolny: F. Greno, R. Bończka, A. Ostoja.



Kazimierz Zalewski.

ARTYŚCI TEATRU MAŁEGO.



J. Szyling.



B. Mierzejewski.



W. Koncewicz.



Janusz Orliński, w roli Nicka

— A jak sobie pan dyrektor wyobraża przyszłość swego teatru?

— Wierzę, że trafię z artystów moich wyrobić zespół prawdziwy. I wierzę w powodzenie. Mówią, że sala jest za mała i scena za mała. Nieprawda! To są warunki najlepsze do wytworzenia bezpośredniego zetknięcia się z publicznością, bezpośredniego oddziaływania na nią, najdoskonalszego doprowadzenia teatru o typie wolnej sceny, dla nielicznego grona smakoszków dostępnej.

— Czy ta liczba wystarczy jednak na utrzymanie teatru?

— Z pewnością! Byle prasa i publiczność poparła moje usiłowania. Mam zamiar urządzić dwie seryje abonentów na dwa wieczory tygodniowo. I wogóle, ciekawym repertuarem i dobrą grą artystów, pociągając, zaciekawic...

— Tak więc teatr

byłby przedstawiał typ inny, niż teatry rządowe?...



## Portrety na dobie.

DR. BRONISŁAW SAWICKI.

Tak skromnie, jak niepospolicie skromnym człowiekiem jest jubilat, obchodzono dwudziestopięcioletnie owocnej pracy lekarskiej dra Bronisława Sawickiego. Obchodzono je w gronie ścisłym uczniów, przyjaciół i współpracowników, dla których potrzebą serca było złożenie hołdu człowiekowi, którego zasługi w dziedzinie szpitalnictwa są niepożyte, który do pracy zawodowej swojej



wnosił dwie zasadnicze cechy swojego charakteru: głębokie umiłowanie społeczeństwa i nauki, oraz prawość nieposzlakowaną. Słowa te wyjmujemy z książki jubileuszowej, uczczeniu dra Sawickiego poświęconej. A od siebie dodać pragniemy, że cichy ten jubileusz głośnym echem odbija się w sercach wszystkich tych, którym znakomity chirurg ulżył w najcięższej niedoli, którzy w pamięci swej zachowali głęboką wdzięczność i niczem niezatarte wspomnienie tej łagodności, dobroci serca, jakie im w chwilach cierpienia okazywał. Wszyscy oni łączą się myślą z jubileuszem, życząc z głębi serc jubilatowi długiej jeszcze, pozytywnej pracy dla dobra cierpiących.

KSIĄŻĘ HIERONIM DRUCKI-LUBECKI.

Dnia 24 b. m., zjazd ziemian ziemi mińskiej powołał ks. H. Druckiego-Lubeckiego na posta do Rady Państwa, w skutek ukończenia I-ej kadencji i nieprzyjęcia powtórnej kandydatury przez poprzedniego posta, p. Edwarda Woyniłłowicza.



Książę H. Drucki-Lubecki znany jest naszemu społeczeństwu już z kilku swych występów w pierwszej Izbie, dokąd, jako poseł miński, został wybrany ogromną ilością głosów. Jako działacz społeczny, ks. Hieronim zajmuje w Mińszczyźnie wybitne stanowisko. Ostatnio został powołany

na miejsce prezesa Tow. „Oświata” po wyjeździe z Mińska J. E. ks. protonotaryusza Michalkiewicza. Ks. Drucki-Lubecki znany jest i na niwie literackiej. Napisał kilka dramatów, z których w druku znajduje się tylko dwa: „Szatan”, wystawiony w Mińsku w 1905 r., oraz „Tak umierali Litwini”. Ostatni dramat był wystawiony w r. 1908 w Wilnie, a w 1909 w Mińsku. O ile nowo-wybrany członek Rady Państwa odpowie trudnym, a wysoce odpowiedzialnym obowiązkom, najbliższy czas wykaże. To pewna tylko, że przyjęcie mandatu w tych warunkach, w jakich dziś na Litwie żyjemy, jest prawdziwą i ciężką ofiarą. Ks. Drucki-Lubecki otrzymał trzy czwarte głosów wszystkich zebranych wyborców i przez przyjęcie mandatu przeszkodził wybraniu p. Kirjakowa, Rosyanina.

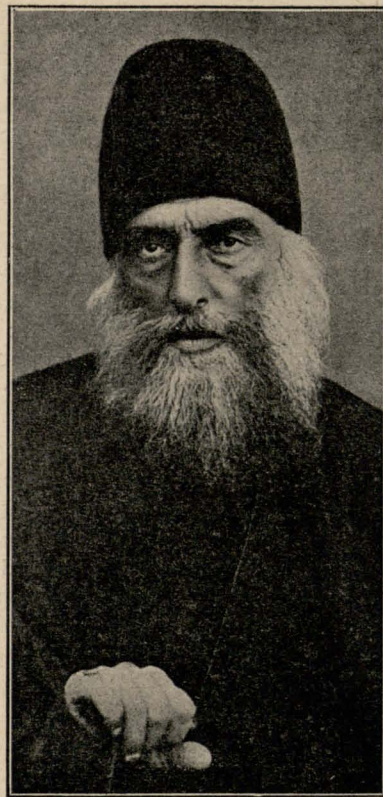
STANISŁAW CHRZĄSTOWSKI.

St. Chrząstowski jest czwartym z kolei Polakiem na stanowisku prezydenta Mińska Litewskiego. Po-



chodzi z rodziny ziemian kowieńskich, od lat wszakże kilkunastu osiadł w Mińsku, gdzie pracuje, jako adwokat przysięgły.

Z PAŃSTWA LWA I SŁOŃCA.



Assad-Ul-Mulk, regent perski.

## Pokłosie wydawnicze.

Cypryan Norwid. Wybór poezyi, zebrał i objaśnieniem zaopatrzył Roman Zrębowicz, Lwów, 1908 r.

Zapomniany przez współczesnych Cypryan Norwid teraz dopiero, po wielu latach, dzięki usilnym, pełnym gorącego umiłowania staraniom Miriama, odzyskuje swe prawa. Ukazują się w druku coraz to nowe jego utwory; słyszeliśmy też o przygotowywującym się pełnym wydaniu jego dzieł. Tygodnik poświęci niebawem cały numer Norwidowi, tymczasem zaś witamy z radością każde nowe odkrycie w tej dziedzinie, jak np. niniejszy wybór jego utworów lirycznych. Nie da on, oczywiście, pełnego obrazu twórczości poety, tak różnorodnej, ale przyczyni się niezawodnie do spopularyzowania jego sympatycznej, a tak mało znanej, nawet wręcz—nieznanej postaci.

Mieciał Maryan Winiarski. Kaprys księżnej, Warszawa, 1909.

Wiązanka nowel, gładko i poprawnie pisanych, świadczy o dużej rutynie pisarskiej młodego autora. Do najlepszych zaliczylibyśmy „Amor histericus”, bardzo udatnie skreśloną sylwetkę kobiety chorej na nerwy, której miłość, pełna wybuchów i nagłych przeskoków, jest kulą u nogi, nawet przekleństwem nieszczęśliwego kochanka. „Jelenie” i „Kara Boża” grzeszą pewną skłonnością do melodramatu, a „Kaprys księżnej” jest zrzęcznie i zajmująco opowiedzianą anegdotą. Przypuszczać należy, że autor, pozbywszy się pewnych obcych naleciałości i wyszkoliwszy poczucie artystyczne, stworzy niejedno jeszcze dzieło, nierównie lepsze.

## ZMARLI.

EDWARD ABLAMOWICZ, ziemianin, nestor i patriarchy obywateli sejneńskich, zmarł w 86-ym roku życia. Po ukończeniu studiów agronomicznych w Instytucie Marymonckim pracował na roli w majątku rodzinnym. Normalny bieg życia przerwały mu wypadki 1863 r. Jako jeden z organizatorów suwalskich był zagrożony wyrokiem śmierci, ale szczęśliwie udało mu się uciec: emigrował do Paryża, gdzie przebywał czas jakiś. Po amnestyi powrócił w strony rodzinne i osiadł w majątku rodzinnym Justyanowie. Dom pp. Ablamowiczów był przez długie lata ogniskiem życia ziemiańskiego w sejneńskim; promieniowa-



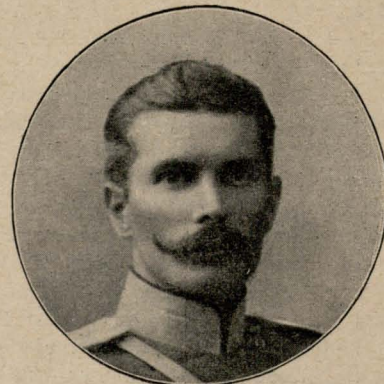
ło stąd na dalszą okolicę wszystko, co dobre i szlachetne. To też żal szczery i powszechny towarzyszył złożeniu zwłok do grobów rodzinnych w Kopciowie. Cześć pamięci zacnego obywatela, jednego z epigonów podniosłej epoki!

IZABELA SMOLIKOWSKA, przełożona znanej i popularnej pensyi żeńskiej, zmarła w Warszawie, w wieku lat 75. Po ukończeniu Instytutu Puławskiego, założyła w Warszawie pensję dla panien, wraz z pensjonatem, która przez lat dwadzieścia była jedną z najlepszych w Królestwie,



dzięki temu, że zmarła przełożona zdołała w niej umiejętnie zastosować wyniki najnowszych wymagań pedagogiki. Ś. p. Smolikowska należała także do grona założycieli *Przeglądu Pedagogicznego*, który popierała swą moralną i materyjalną pomocą, wreszcie zorganizowała wyższe kursy handlowe dla kobiet. Podczas jubileuszu otrzymała wybitne dowody uznania ze wszystkich sfer naszego społeczeństwa, poczem zaraz usunęła się w zacisze życia prywatnego. Na wsi spędziła lata ostatnie pracowitego i zasłużonego żywota.

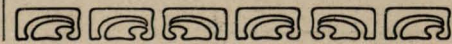
KONSTANTY KOWALEWSKI, kapitan nalewkowskiego oddziału straży ognowej, zmarł w Warszawie w wieku lat 38. Zmarły przez osiem lat pełnił obowiązki sekretarza warszawskich straży i ich administratora i w tym czasie odznaczył się



wielką gorliwością w pracy. Pełen poświęcenia, dzielnie sprawiał się na swoim stanowisku i pośrednio padł ofiarą swego obowiązku, zaziębił się bowiem przy jednym z ostatnich pożarów i już potem nie przyszedł do zdrowia i umarł skutkiem krwotoku płucnego.

## SPROSTOWANIE.

Ks. Kanonik Ign. Lojola Dubowski, proboszcz korecki, prosi nas o zaznaczenie, iż w Nr 38 *Tygodnika Ilustrowanego*, pod odeszwą „Zużyte marki” nazwisko jego zostało mylnie wydrukowane.



## Nowy wynalazek.

Obrabiarka wynalazku Battisty w Czechach, próbowana na wystawie częstochowskiej. Na obrabiarce siedzą pp. Janasz, prezes syndykatu warszawskiego, Kawczyński, dyrektor syndykatu kieleckiego, i Wilski—piotrkowskiego.



**W. Golińska**  
PLAC TEATRALNY, POD FILARAMI,  
BRONZY, PORCELANA, PERFUMY.

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.  
NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.

„ŚMIECH” Tygodnik humor. ilustr. HOŻA 44,  
w Warszawie kwartalnie rub. 1,  
z przesyłką kwartalnie rub. 1 k. 25.

ZDROWIE niezniszczalne można pozyskać  
przez ćwiczenia psychofizyczne.  
Opisane w nowym dziele WINCENTEGO LU-  
TOSŁAWSKIEGO p. t. ROZWÓJ POTĘGI  
WOLI, wydane nakładem Gebethnera i Wolffa.  
Cena w oprawie rub. 1.20.

Składy na Meble  
**„SYRENA”**  
Krak. Przedm. 38

MEBLE STYLÓWE M. KALMUS  
MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 28-87.

WARSZAWIANKA



F. JANKOWSKIEGO.



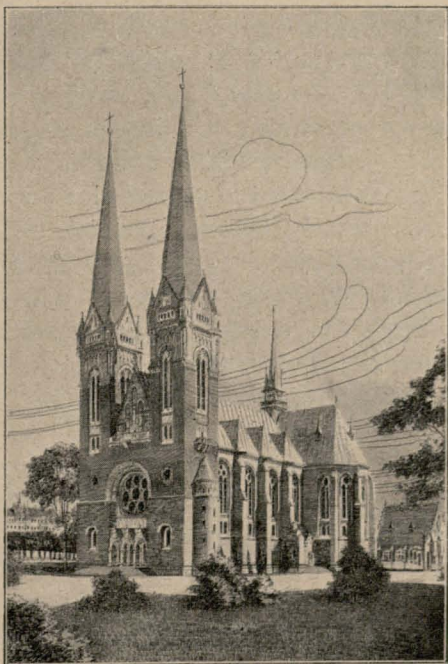
# ARCHITEKCI KRAKOWSCY.

SŁAWOMIR ODRZYWOLSKI.

Raźno zabrali się nasi młodzi architekci do pracy około ożywienia pięknych naszych tradycji architektonicznych, około powiązania ich z nowoczesnymi wymaganiami i warunkami pracy. A że praca rozpoczęła się i najpiękniejsze owoce wydała w Krakowie, nie jest chyba dziwne. Wszak Kraków właśnie jest przebogatą skarbnicą najpiękniejszych w północno-wschodniej Europie form architektonicznych, wszak jest niejako ostatniem na Wschodzie ogniskiem, w którym ongi skupiała się znaczna część architektonicznej twórczości zachodniej Europy.

Jednym z pierwszych, który to znaczenie Krakowa jasno zrozumiał, był prof. Sławomir Odrzywolski.

W pięknym swym fachu gruntownie zagranicą wyszkolony, p. Odrzywolski, osiadłszy w Krakowie, jeden z pierwszych zaczął metodycznie uprzystępniać krakowskie skarby form architektonicznych w drodze doskonałych opisów



Projekt kościoła św. Elżbiety we Lwowie (Nagroda I).

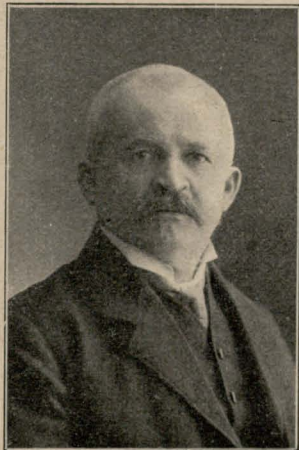
i wydawnictw, jak „Zamek królewski na Wawelu”, „Renesans w Polsce”, „Zamek w Baranowie” i t. d. I nie były to martwe i suche opisy z ilustracjami. Odrzywolski wkładał w nie całą swą wrażliwą na piękno duszę i całe swoje ukochanie przeszłości polskiej, które pozwalało mu z dziwną intuicją odczuwać i odsłaniać w opisywanych zabytkach, przeważnie obcemi rękami wznoszonych, to, co w nich było czyste polskie, co w potężne ich mury z duszy polskiej przeszło i pozostało. I tę właśnie nić „swojskości” w architekturze dawnej naszej raz pochwycał, umiał Odrzywolski rozwijać ją dalej także i w swej prywatnej twórczej działalności.

Weźmy np. taki dom Towarzystwa Technicznego w Krakowie. Na małym jego froncie trzeba było umieścić i duże okno wystawowe, i salę wielką, i lokale rozmaite. Zadanie konstrukcyjne trudne, nie mówiąc o estetycznym. A jak je Odrzywolski rozwiązał! Od parteru po piękny, stylowy dach, wszystko tam nowe, oryginalnie stworzone, ściśle

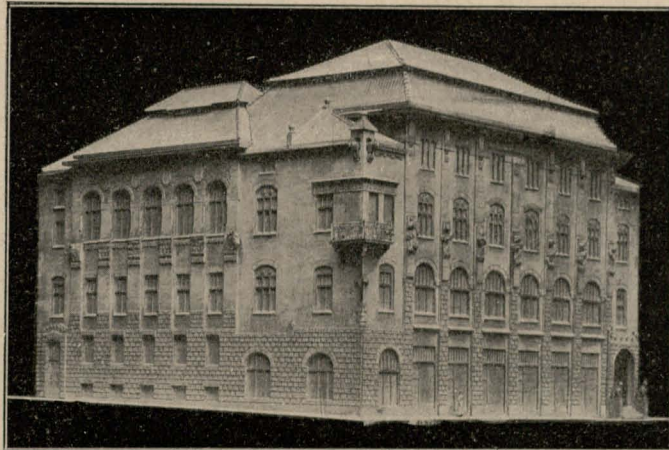
skiego, jest doskonałym przykładem tego niepospolitego talentu prof. Odrzywolskiego, z jakim umie on łączyć ścisłą celowość z pięknem prawdziwym. Znacznie wystawniejszy i wspanialszy jest gmach Towarzystwa Rolniczego przy placu Szczepańskim, obecnie już pod dach wyciągnięty. Tu Odrzywolski wykazał już taką inwencję i tyle poczucia linii, że piękny ten gmach stanie się niewątpliwie ozdobą Krakowa, stanowiąc piękny przykład bardzo szlachetnie zmodernizowanego i „ukrakovionego” renesansu.

Najpiękniejszy jednak dotąd z licznych dzieł Odrzywolskiego jest projekt kościoła św. Elżbiety we Lwowie, nagrodzony w swoim czasie pierwszą nagrodą. Jest to rzecz tak doskonała w formie i szlachetna w pomyśle, że nie chce się wierzyć, abyśmy nie mieli ujrzeć jej gdzieś w Polsce, wykonaną w cegle i kamieniu.

Projekt ten bowiem, aczkolwiek jednogłośnie pierwszą nagrodą odznaczony, nie został uznany za odpowiedni do wykonania we Lwowie, w skutek czego komitet budowy

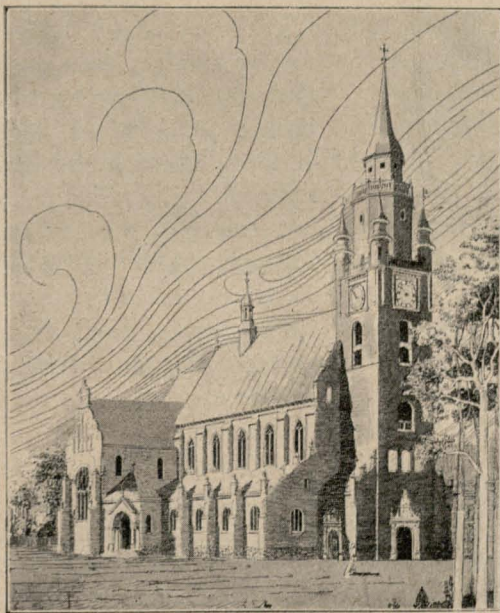


Sławomir Odrzywolski.



Dom Towarzystwa Rolniczego przy placu Szczepańskim w Krakowie.

przemysłane i oryginalnie związane, tworzy mimo tej nowości, całość, która od pierwsze-



Projekt przebudowy kościoła w Kretyndzie na Żmudzi.

go wejrzenia ujmuje wdziękiem swojskości w jej najlepszym znaczeniu.

Obok na rycinach widzą czytelnicy modele dwóch gmachów, które teraz właśnie prof. Odrzywolski buduje. Państwowa Szkoła Przemysłowa, pod którą w tym roku położono fundamenty przy ulicy Piotra Michałowa-

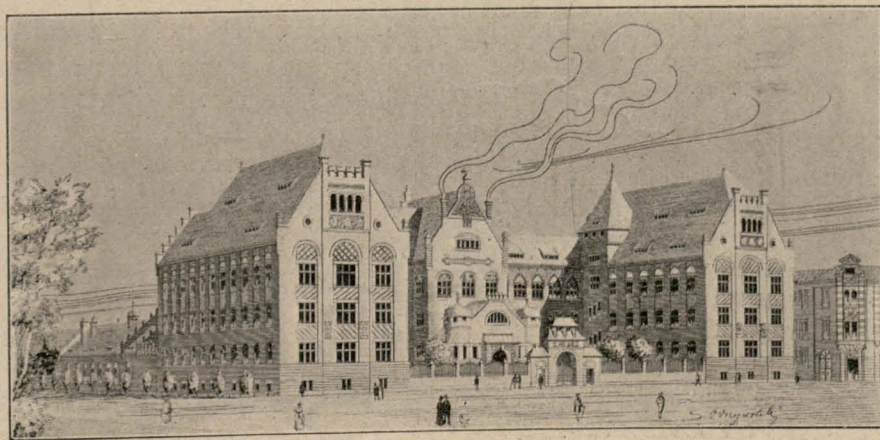


Dom Towarzystwa Technicznego w Krakowie.

kościółka rozpiął drugi konkurs, w którym prof. Odrzywolski z braku czasu udziału już nie wziął.

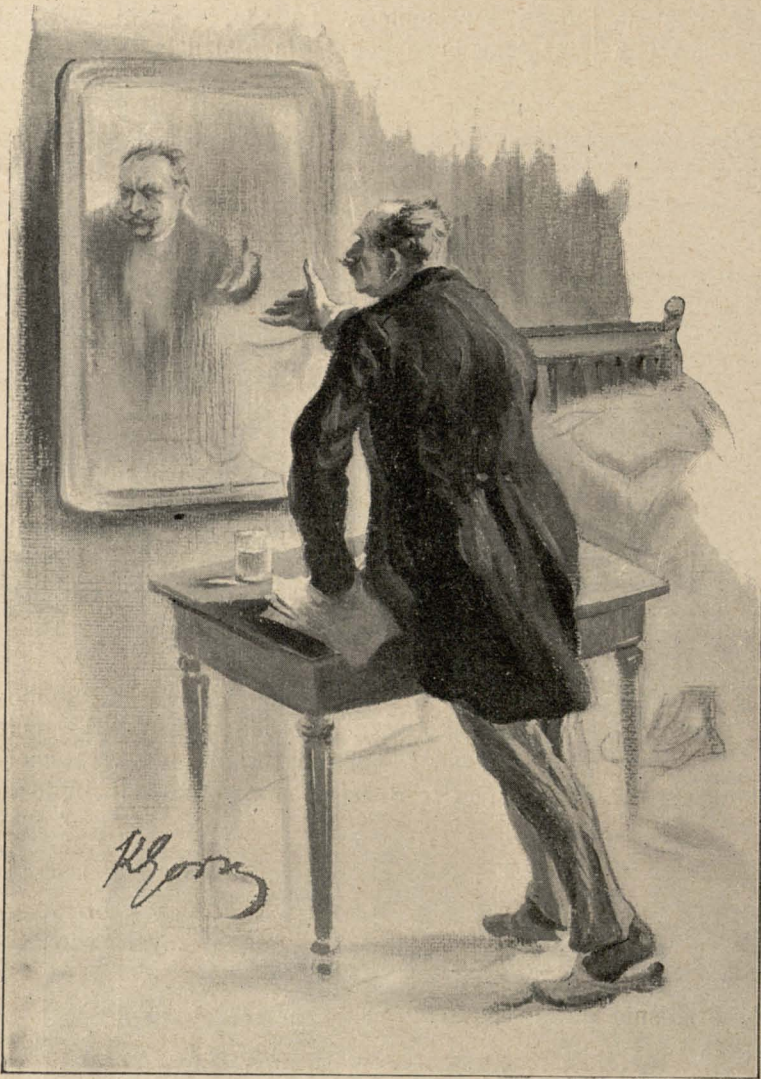
Tych kilka przykładów z działalności prof. Odrzywolskiego nie daje naturalnie pełnego jej obrazu.

Ale też nie jest ona jeszcze bynajmniej skończona, a wszyscy miłośnicy budownictwa artystycznego mogą żywić wielokrotnie uzasadnioną nadzieję, że prof. Odrzywolski pozwoli im oglądać jeszcze niejedno piękne dzieło swego niepospolitego talentu, głębokiego poczucia piękna i rozległej wiedzy.



Projekt gmachu państwowej Szkoły Przemysłowej w Krakowie.





Uczył się godzinami patetycznych ustępów.

K. GORSKI

Do zupełnego rozpląnięcia się zjazdu w Wiszunach, codzien topniejącego, do ostatnich trzech gości przy stole oprócz domowników, dotrwał pan Apolinary, humorem i przemyślną wymową promienny. Podbijał wszystkie serca, zgarniał i prowadził nieznanie do swoich celów.

Gdy zabrakło Chmary do porozumiewania się na wyżynach myśli polskiej, Miłaknisów do polonizowania, Ciecierowicza do konferowania o szacownych starożytnościach, pozostali: Assernhof, młody Kmita i właściciele Wiszun do poufnej uczy.

— Gdybyś tu osiadł, Apolinary—mówił pan Gotard—zostałbyś niechybnie królem litewskim z wolnej elekcyi, jako odwet za Jagiellonów, którzy siedzieli na krakowskiej stolicy.

— Bez żartów—pytał poczciwie pan Apolinary—czy nie sądzisz, że moje dwie wyprawy na Litwę przydały się do jakiegoś zbliżenia, scementowania, dobrodziejstwa mój?... choćby do rzucenia światła na drogi przyszłości?

— Ależ odnowiłeś Unię! — wołał pan Gotard.

Assernhof mówił zawsze żartobliwie, ale żeby w żarcie była choć połowa prawdy, ta połowa starczyłaby za nagrodę dla działacza.

Stanisław Kmita wydał się też Apolina-

remu człowiekiem przyszłości: jeździł konno, jak centaur, strzelał znakomicie, ceniał dobrą tradycję rycerską, o gospodarstwie rolnem gadał chętnie, a przy rozmowach politycznych słuchał nowego wuja, jak wyroczeni. Nie tak, jak Kazio, który, w jednym z nim wieku, ma pretensję do zdania samoistnego w sprawach publicznych, choć sam wyznaje, że nie jest politykiem. Ostatecznie Kmita będzie także wybornym mężem dla Aldonki, a chociaż Rokszycy rodzina zacna, zawsze koligacya z Kmitami pod pewnym względem jeszcze świetniejsza. Widział już Budzisz w drzewie genealogicznem swego imienia świeże kółko, albo kwadrat, albo złote jabłko z napisem: „Aldona, za Stanisławem Kmitą, herbu Chorągwie”. Demokratyzacya nie rozciąga się na genealogię, która jest nauką samoistną. Dosyć miał Kmita innych zalet demokratycznych: mówił biegle po litewsku, i dziewczyny

wiejskie przepadały za nim.

A ta kochana Aldonka! Takiej Budziszówny nie chciał pan Kazimierz! no, no... Wybrał sobie śliczną, co prawda, ale gołą, jak matka Ewa, Sołomerecką... z takich tam kniaziów zatraconych.

W zdaniu o pani Krystynie hamował się jednak pan Apolinary. Zauważył, że, choć niektórzy ją krytykują, jakoś wszyscy garną się do niej, gdzie się tylko ukaze. I w Rarogach, i tutaj. Poczciwy Hieronim toby ją na ręce wziął razem z krzeselkiem i przenosił z miejsca na miejsce, jak porcelanę... Coś tam w niej jest, co się dopiero pokaże. Ten Kazio to wielki fizyk...

Tak rozmyślał pan Apolinary w wolnych od biesiady i od polityki chwilach. I powoli zaczął wierzyć, że sam dużo wpłynął na wybór Kazimierza: zawiózł go przecie do Rarogów, nie obmawiał Krystyny przed starymi Rokszycyckimi, nawet zdaje się, że ją chwalił?...

Po kilku jeszcze dniach działań parlamentarno-kulinarnych pan Apolinary pożegnał ze łzami Wiszuny, obiecując solennie powrócić na ślub Aldony, i pojechał do Wilna.

Ani wieści tu nie zastał o Kazimierzu.

— Ha, dobrodziejstwo mój, chcesz się obejść beze mnie, to się obejdiesz. Mam ja tu ważniejszą sprawę.

Sprawą przedewszystkiem palącą było

wywołanie odczytu o Unii. Wilno już było dość ludne w początku października, materyały i sam odczyt—były gotowe.

Jakto w zawodzie politycznym rozmaite stosunki przydać się mogą! Spotkał pan Apolinary w Wilnie marszałka Wiliaszewa, poznanego w Rarogach, i skorzystał z jego uprzejmego pośrednictwa, aby pozyskać pozwolenie na odczyt i aprobatę cenzury. Poproszono go tylko o usunięcie kilku frazesów, rzekomo zagrażających potędze Państwa, i o zmianę tytułu „Unia” na „Wspólne pożycie Litwy z Polską”. Pan Apolinary chciał dodać: „500 lat wspólnego pożycia”, cenzor targował się, żeby było 400 lat. Zgodzono się nareszcie na bezterminowe pożycie.

Odczyt miał się odbyć w sali o kilkuset miejscach płatnych, z których dochód przeznaczył prelegent na odnowienie zwalisk na Zamkowej górze. Stosowne zapowiedzi wyszły już w dziennikach, wydrukowano bilety, a rozprzedaż ich powierzył Budzisz znajomym, głównie Pasterkowskiemu, jako najgoręcej zainteresowanemu w tej akcji przeciwko „litwomani”. Pan Tytus rozgłaszał nawet—doszło to i do Budzisz—że był inicjatorem odczytu.

— Niech mu się to zdaje—myślał pan Apolinary.—Jeżeli odczyt się uda, będzie czas na sprostowanie. Co innego zresztą—mówić, co innego—namawiać do mówienia.

Przeżywał poprostu gimnazyalne emocje, jak uczeń przed maturą. Stawiał stół na środku pokoju, przed lustrem i przy drzwiach zamkniętych uczył się godzinami patetycznych ustępów na pamięć, przewracania kart w stosownej chwili, uszlachetnienia giestu mówcy przygodnego, którym już był oddawna, aż do powagi profesorskiej.

— Co w tem miejscu lepiej: huknąć, czy zniżyć głos do tajemniczego szeptu?...

Najprzód więc próbował grzmotu.— Nieźle. Teraz znów to samo sposobem magnetycznej insynuacyi.— Jeszcze lepiej.

Notował na rękopisie ton jeden i drugi znakami w rodzaju klucza basowego i wiolinowego. Wyobrażał przed sobą tłum słuchaczy: mężów dojrzałych, młodzież, kobiety; ludzi z nim jednomyślnych i przeciwników z obozu „młodej Litwy”; znajomych i nieznanym. Czy zwracać się spojrzeniem do znajomych, czy wzrok utkwic w jakiś punkt sali oddalony, aby słowo płynęło nad głowami obecnych, spadało na nie dobroczynnym deszczem? Słyszał od kogoś, że tak najskuteczniej uwydatnia się natchnienie. Tymczasem jednak widział tylko przed sobą w lustrze swą postać próbującą, a nie wiedział, ilu i jakich będzie miał przed oczyma słuchaczy w dniu odczytu.

Już tylko trzydzieści godzin oddzielało go od występu. Pan Apolinary spał, gdyż była dopiero godzina siódma rano, gdy nawiedził go Pasterkowski, srodze zwiędły na twarzy od niewyspania, czy innej alteracyi. Po odsłonięciu firanek i rozczmychaniu się



ZYGMUNT MICHAŁOWSKI:

## Przy promie.

- Co słyhać, panie Trzaska?
- Kiepsko...
- No, cóż znowu takiego?
- Ale, bo to...

I pan Trzaska zaczynał opowiadać długo, wzruszając ramionami, z przymrużeniami oczyma, wpatrzonemi gdzieś daleko, w jakiś odległy, nieuchwytny punkt na gładkiej powierzchni rzeki.

— Ale bo to... niech ich tam morówka!.. czego oni nie wyprawiają! Człowiek, zdaje się, nie dzisiejszy, bo już 70 lat akuratnie mi się kończy, dużo dziwów przeróżnych naogładał... A oni tylko ciągle coś nowego muszą wymyślać.

Pan Trzaska nie lubił i nie uznawał „nowości”. Zmęczony jego starczy umysł nie mógł się żadną miarą pogodzić z trudnymi niekiedy do pojęcia „wybrykami młodych, którym ciągle świtają w głowie jakieś grzeszne zachcianki”.

Czterdzieści lat mieszkał pan Trzaska w tym niskim domku przy rzece, przez czterdzieści długich lat na każde zawołanie w dzień i w nocy podnosił ciężki „szlaban” rogatki i za groszową opłatą przepuszczał przez wielki prom przejezdnych. Odgradzała go od świata i ludzi szeroka taśma wód, z którymi żył się bratnio i postanowił nie rozstawać aż do ostatka dni.

Bo i co mogli pana Trzaskę obchodzić ludzie, rozproszeni po okolicznych wioskach i w miasteczku!

Zaledwie parę wiorst za rzeką, zaledwie o godzinę bitej polskiej drogi odlegli ludzie, a tacy dziwni, tacy zuchwali w swoich myślach i mowie! To też pan Trzaska nie chciał się znać z nikim. Z początku chodził czasami do sąsiednich wiosek, a w niedzielę i do miasteczka, ale potem obrzydli mu wszyscy.



Zasepili się mężowie.

K. GORSKI

uśpionego działacza, pan Tytus rzekł, siadając na łóżku:

— Zdaje się, że odczytu jutro nie będzie...

— Co takiego?! cenzura?

— E, gdzie tam! publiczność.

— Wroga manifestacya? zamieszki uliczne?!

— Przeciwnie, biletów nie kupują...

To był cios najgorszy. Pan Tytus zwiesił nos, a pan Apolinary głową ciskał na boki, jakby nie rozumiejąc jeszcze:

— Więc jakżeż?... nie kupują?

— A nie chcą. Co ja się już nalatałem wczoraj do późnej nocy! Poruszyłem redakcyę, księgarnie i kogo tylko mogłem. No i u nas sprzedano trzy bilety, moja żona umieściła jeszcze dwa, rozdaliśmy kilka darmo, dalej tymczasem nie! Haniebna ospałość tutejszego społeczeństwa!

Budzisz zamrugał powiekami, dzielając wstyd... za Wilno.

— Może dzisiaj jeszcze rozkupią? — rzekł nieśmiało.

— A jaby na pańskim miejscu nie ryzykował, panie Apolinary. Jest jeszcze czas w dzisiejszych numerach dzienników odwołać odczyt. Jutro, w dzień zapowiedziany, już niepodobieństwo.

Budzisz westchnął. Tyle pracy na próżno, i laury, przychylone już do zerwania, uciekają w błękity... Rzekł, marząc gorzko:

— A mówiłem, panie Tytusie, że zawcześniej...

— Jakto? przecie to pana pomysł! Ja starałem się tylko grunt przygotować.

— Ale pan mnie namawiałeś...

— Ja?! Prosiłem o artykuł do dzienni-

ka, nie o odczyt. I teraz możnaby to wydrukować zamiast wypowiedzieć.

— Nie, to co innego, tu są tony, zwroty żywe...—mówił pan Apolinary żałośnie, uderzając dłonią po plice papierów, która i przy łóżku go nie opuszczała.

Zasepili się mężowie i namyślali się już tylko nad tem, jak się wycofać z honorem.

(DCN)



Siadywaliśmy razem na promie, gawędząc długo.

A. PIOTROWSKI



— Niech tam baba chodzi, jak czego będzie potrzeba. Ja już do nich nie pójdę!

Ale żonę zabrała mu śmierć. Został pan Trzaska sam, zupełnie sam.

Umówił się z Żydkiem-pachciarzem, który codzień przejeżdżał przez prom do miasta z mlekiem; ten przywoził mu niezbędne do życia rzeczy.

I tak już od tyłu, tyłu lat!...

Zdawałoby się, że pan Trzaska zdążył już żyć się i pogodzić z takim stanem rzeczy. Jednak widocznie nie musiało mu być dobrze na świecie, skoro na zapytanie: „Co słychać?” miał zawsze jedną odpowiedź:

— Kiepsko...

\* \* \*

Co roku, letnią porą byłem częstym gościem pana Trzaski. Siadywaliśmy razem na promie, gawędząc długo, niekiedy do późnej nocy. Staruszek lubił, by go słuchano z uwagą. Ze szczególniejszym upodobaniem opowiadał historię swego życia: o tym burzliwym 63-im roku, który tak wielką rolę odegrał w jego życiu; o tej „kulce-morówce”, co do dzisiejszego dnia siedzi w ramieniu, o tej smutnej tułaczce, po której zamieszkał w swoim domu przy promie...

Często w toku opowiadania rwał mu się wątek myśli. Pomagał sobie wtedy pytaniem, zwracaniem do samego siebie: „O czym to ja?”... Zapalał krótką kieszonkową fajeczkę, splotał na wodę i gawędził dalej.

— Ech, mój panie! Dzisiaj niema na co patrzeć! Taki hardy lud, taki strasznie hardy! Dla starego nie ma wcale uszanowania. Bo cóż stary! „Nie rozumiesz nas, głupi jesteś!”, prosto w oczy tak mówią. Ja to naprawdę trochę się dziwuję, że pan chce ze mną gadać.

— A dlaczegożbym miał nie chcieć?

— Bo pan to zawsze pan. Mnie tam i równać się nie można. Pan jest uczony, a ja—ot, taki sobie zwyczajny człowiek.

Czasami naumyślnie, chcąc ożywić staruszkę, skierowywałem rozmowę na jakiś drażliwy temat.

— Nie przejeżdżał tędy dzisiaj, panie Trzaska, ten pan z Zawiercia na rowerze?

Staruszek zmienił się odrazu. Splunął jaśko dziwnie pogardliwie i machnął od niechcenia ręką.

— Ot, przejeżdżał, ma się rozumieć. Że też to się ludziom chce łamańce wyprawiać i życie na włosku wieszać!

— No, dlaczego?

— A toć widziałem, jak tu kiedyś ten szewc z miasta jechał na tym *lewerze*. Akuratnie właśnie przejeżdżał przez prom. Coś mu się tam odkręciło, czy jakie inne лихо, chlupnął w wodę; na całe szczęście, przy samym brzegu. Pyta się mnie, czy ma rogatkowe płacić, jak od konia. Kazałem mu całą dziesiątkę dać. Zachciało mu się na *lewerze* jeździć, niech jucha płaci!

— Wiecie, panie Trzaska, że i ja także jeżdżę na takich kółkach?

Staruszek spojrzał na mnie przenikliwie, zmrużywszy oczy. Niedowierzał mi.

— E... chyba nie...

— Naprawdę. To jest bardzo przyjemnie jechać tak samemu bez konia.

— A to niby na co Pan Bóg konia stworzył? Żeby sobie stał w stajni i nic nie robił? No, to trzeba powybijać wszystkie konie, kiedy już ludziom niepotrzebne. Podobno nawet teraz są całe powozy, co to same po każdej drodze bez koni chodzą.

Skinąłem potakująco głową.

— Jeszcze tylko brakuje, żeby ludzie zaczęli po wodzie chodzić, tak jak po ziemi. Oho! to już niedoczekanie! Patrzę ja na wodę czterdzieści lat; nie taka ona łatwa! To już napróżno!

— Ale za to w powietrzu latać będą, jak ptaki.

— A toć gadał mi coś o tem pisarz z gminy; ale nie taki ja głupi, żebym miał mu zaraz wierzyć.

— Prawdę mówił pisarz, panie Trzaska; teraz są już balony.

— A właśnie... Tak i on mówił, *balany*. Ot, rozumiemy ludziom się pomieszały, nic więcej. Ja to tak czasem myślę sobie, że Pan Bóg jest strasznie dobry, że ludzi za takie grzeszne zachcianki nie karze.

— Kiedy to już tak musi być, panie Trzaska, że z czasem człowiek coraz to coś nowego wymyśli.

Pokiwał głową i mówił niby do siebie:

— Nie tak to dawniej bywało, oj, nie tak... Bez tych wszystkich sztucznych wymysłów było lepiej ludziom, spokojniej. A teraz...

Zapatrzył się przed siebie.

— A ona płynie, ciągle płynie, bezustannie... Pozrucali ludzie proste sukmany, zakładają jakieś dziwaczne kapoty, zamiast czapek kładą

kapelusze... Idzie to do kościoła wystrojone, harde... Ze starych się śmieją... Pozmieniało się wszystko, pozmieniało... Tylko ona zawsze tak samo płynie... ciągle płynie...

\* \* \*

Pewnego wieczoru, idąc na pogawędkę do pana Trzaski, spotkałem go na drodze dość daleko od promy. Zdziwiło mię to. Wiedziałem, że staruszek nie oddalał się nigdy z domu.

— Co słychać, panie Trzaska?— powitałem go zwykłym pytaniem.

— Kiepsko...

I, zanim zdążyłem się odezwać, kończył zdanie:

— Szosę sypią.

Dopiero wtedy spostrzegłem, że na szerokim gościńcu pokopane były dołki, powbijane paliki.

— Więc dlatego kiepsko? A ja myślałem, że pan Trzaska będzie zadowolony przynajmniej choć z tej jednej nowości.

Staruszek nie odpowiedział mi nic. Dopiero po chwili zaczął zmienionym głosem:

— I czego to im się zachciewa!... Była taka dobra droga, niedarmo nazywa się „polska droga”. Oni i tego uszanować nie potrafią!...

Starałem się, jak mogłem, dowieść staruszkowi wyższości szosy nad „polską drogą”. Napróżno.

— Nie, nie, mój panie! To tylko obraza Boska. Dawniej wyjdzie człowiek, bywało, przed dom, popatrzy, przyłoży ucho do ziemi—i zaraz wie, skąd kto jedzie; zaraz zmiarkuje: wóz, czy bryczka, czy powóz. A teraz.

Machnął niebdale ręką.

Milczałem, widząc, jaką przykrość bezwiednie zrobiono starcowi tą przebudową drogi. Podeszliśmy do promy.

Pan Trzaska usiadł nad wodą, zapalił fajeczkę i, jak zwykle, zapatrzył się przed siebie. Tylko teraz wzrok jego był jakiś bardziej smutny, a lśniąca oczy zdawały się ukrywać w sobie przemocą dławione łzy.

— Jabym się stąd wyprowadził... zaczął drżącym głosem.—Bo dla mnie tu już niema miejsca. Niechby sobie robili, co im się podobą...

Zamilkł na chwilę, puszczając przed siebie kłęby dymu.

— Tylko szkoda mi jej... Tak się jakoś człowiek przyzwyczaił... Żal mi...

Nie rozumiałem, o kim mówił.

— Pewnie pobudują most, porobią nasypy... Ale ona się nie da... Jej nie zmienią, nie zmienią... Będzie płynęła, tak jak i dotąd...

Wzrok starca zginął gdzieś daleko, daleko, na powierzchni rzeki.

— Panie Trzaska, rogatka!—odezwał się głos jadącego woźnicy.

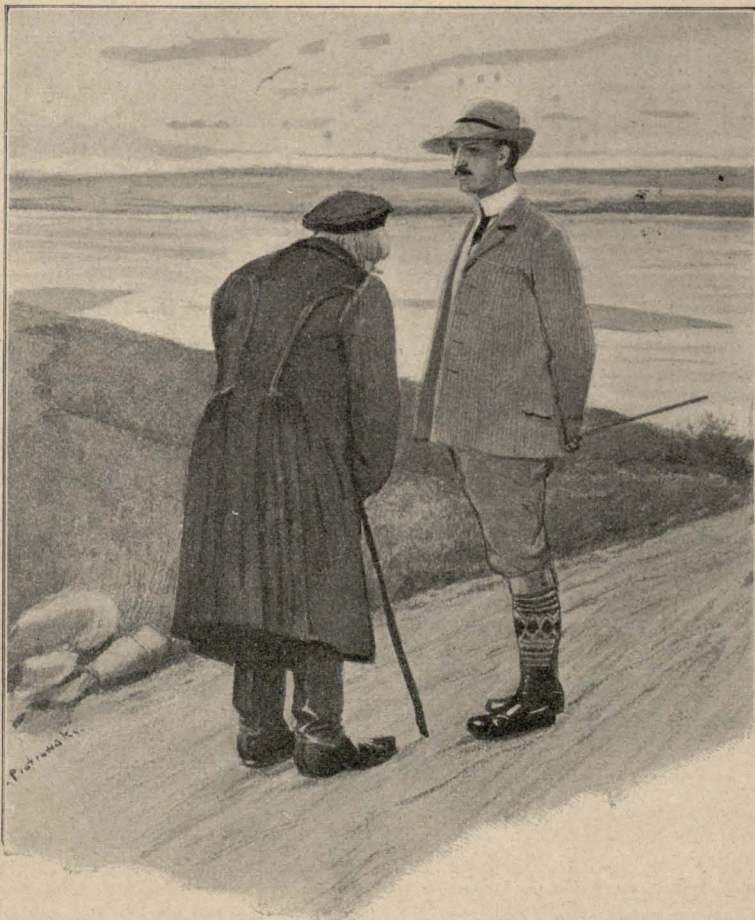
Staruszek nie słyszał. Myśl jego zabłądziła gdzieś na zakręcie wód, na granicy dawnych, lepszych czasów.

Kiedy wołanie powtórzyło się parę razy, zwróciłem uwagę staruszka.

— Wołają pana do rogatki.

Otarł rękawem wilgotne oczy, poszedł ciężkimi krokami i bezmyślnie, jak automat, podniósł do góry „szlaban”.

**Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego” prosimy o wniesienie opłaty na kwartał czwarty roku bieżącego.**



Pewnego wieczoru spotkałem go daleko od promy.

A. PIOTROWSKI



## ODPOWIEDZI

## OD REDAKCYI.

D-rowsi Leonowi Padlewskiemu, oraz wszystkim tym, którzy prostowali niedokładności, zawarte w naszym artykule p. t. „Męczennicy nauki”, odpowiadamy, że artykuł nasz był tylko skrótem streszczenia pracy prof. Miecznikowa, zamieszczonej w jednym z miesięczników francuskich. Po porównaniu naszego artykułu z oryginałem okazało się, że wszystkie nasze błędy są pomyłkami prof. Miecznikowa, na którego też składamy za nie odpowiedzialność. Osoba autora, znakomitego uczonego, wydawała nam się dostateczną rękojmią dokładności szczegółów.

Autorowi czy autorce uiersza: „Klejnoty — przykazanie Polaka”. Wiersz bardzo słaby. Do kosza!

Nemrodowi. Nadesłane wiersze zdradzają nieznaną zasadę techniki weryfikacyjnej, wobec czego o „widokach na przyszłość” niepodobna cokolwiek powiedzieć.

C. B. z Nowego Dworu. Książę Józefat Żyskar w Irucku, proboszcz parafii katolickiej.

Z TEKI HUMORYSTYCZNEJ FR. KOSTRZEWSKIEGO.



— No, jak tam na dworzu?... znowu deszcz będzie?  
— Pewnie będzie, bo niepotrzebny, tera to, co potsieba, to nie ma, ale co nie potsieba, to jest, takie piśły ciasy!

Prenumeratorowi M. S. Odpowiedzi heraldycznych w naszym piśmie udziela specjalista-heraldyk.

Kadenowi. Adres St. Przybyszewskiego: Altjoch bei Kochel am See (Bayrisches Hochgebirge), via München.

P. Stanisławowi Obrzudowi. Sone-ty „W słońcu” wcale dobre, znać zdolności i swobodę we władaniu formą, dobieraniu barw. Oczywiście, wszystkich nie możemy wydrukować, ale z kilku skorzystałobyśmy chętnie. Prosimy o bliższe porozumienie.

Sz. ks. Józefowi Dr. Niestety! nie możemy korzystać z powodu nawału materiałów w tece, już zakwalifikowanych do druku.

P. Maryi S. we Wrześni. Nie skorzystamy z łaskawej propozycji.

P. Maryanowi Bos. w Czechach (Frauenberg). Adres p. Stanisława Bos. — Warecka 10 w Warszawie; adresu zarządu dóbr książąt S. nie posiadamy; trzeciego pytania: o wielkie majątki w Wielkim Księstwie Warszawskim (!) nie rozumiemy.

Abonentowi ze Staszowa. Patenty cechowe mistrzyń kroju udzielają następujące szkoły kroju i szycia: L. Skwareckiej, Warszawa Plac Aleksandra 13. M-me Mercère, Nowy-Świat 42, tamże pensjonat, Marya Piechowska, Wspólna 10, pensjonat. Szkoły to poinformują o warunkach przyjęcia, nauki i opłacie.

## NADESLANE.

SKŁAD FABRYCZNY  
MEBLI GIĘTYCH

BRACI THONET

Warszawa, TELEFON 20-29  
Marszałkowska 141KOMPLETNE URZĄDZENIA APARTAMENTÓW, WILL,  
TEATRÓW, zakładów gastronomicznych, klubów, etc.  
Wielki wybór GOTOWYCH SALONÓW, JADALNI,  
SYPIALNI i t. p. na składzie.

Sarga

Dostać można wszędzie.

KALODONT

NIEZBĘDNY

KREM DO ZĘBÓW

zbadany przez urzędy lekarskie.

(Wiedeń 3 czerwca 1887 r. i Paryż 3 kwietnia 1890 r.). Przy użyciu zęby pozostają czyste, białe i zdrowe.

G. G. LARDELLI

CUKIERNIE

Fabryka Czekolady

Bođuena 5. Nowy-Świat 27, Marszałkowska 68.



W. CYBULSKI i S-ka

Telefon 60-29

Warszawa, Trębacka Nr 9, dawniej Nowo-Senatorską 7.  
Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

C. Skoryna

Fabryka maszyn i kamieni młyńskich budowa młynów, Turbiny, Transmisyje i t. p.

Warszawa-Praga

OLSZOWA 14, Tel. 49.

MAGAZYN KRAWIECKI  
SZWALBE SACHSKA  
ANGIELSKIE PALTA i GARNITURY  
GOTOWE i NA OBSTALUNEK  
SENATORSKA 8. TELEFON 6717.

**SRODKI do ZĘBÓW**

ELIKSIR, PROSEK i PASTA  
Ojców  
**BENEDYKTYNÓW**  
Opactwa SOULAC

**WAŻNA UWAGA:**

Flakony eliksiru Benedyktynów nie opatrzone plombą komory celnej rossyjskiej powinny być uważane za podróbione.

MODEL FLAKONU

## Od Administracji.

Agentury nasze: G. Gebethner i Spółka w Krakowie i S. Sokołowski we Lwowie posiadają na składzie resztę premium „Tygodnika Ilustrowanego” z 1908 r., album

„Duch-Rewolucjonista” Antoniego Kamińskiego

Cena albumu broszurowanego Kor. 5.— (rb. 2)

„ w ozdobnej oprawie „ 10.— (rb. 4)

Za przesyłkę pocztową albumu dopłaca się „ 1.— (kop. 60).

J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI

Krakowskie-Przedmieście Nr 19  
dom własny



## ODPOWIEDZI

## I RADY POUFNE DLA PAŃ.

*Do różnych.* Wiele listów z zapytaniami zalega, a dla braku miejsca nie jesteśmy w stanie na wszystko dać odpowiedzi, upraszamy przeto o podanie adresów dokładnych, a wysłamy odpowiedzi listowne. Wogóle przy zapytaniach, na które treściwie trudno odpowiedzieć, prosimy o adresy, a bardziej wyczerpujące odpowiedzi bezinteresownie wysłane zostaną.

*Tajemniczej Mery.* Na trwałe przyćmienie brwi, — *Excelsior.* Co do dopełnienia biustu wysłamy odpowiedź listowną, prosimy o adres.

*Prowincjonalistce.* Kapelusze gustowne, prawdziwie artystyczne, gdzie forma, barwa i linia estetyczna idą z sobą w parze, zauważyliśmy na Wierzbowej ulicy, w gmachu teatru, pod firmą *Kazimiera.* Niech się Pani tam zwróci listownie, podając, mniej więcej, streszczone swoje żądania i cenę, a pocztą pani nadesłają.

*Oczekującej.* Z mydeł, które pani wymieniła, zarzucić wszystkie, a używać stale mydła *Neutralnego Karpińskiego,* jest to mydło absolutnie czyste, ani tłuste, ani gryzące, wrażliwe skóry innego nie znoś. Na brak rumieńców tylko dobry róż pomódz może, zupełnie nieszkodliwy *Dorina* Nr. 12

*Stroskanej.* Włosy, które na końcach się rozdwiają, radykalnie wyleczyć można olejkami *Hel.* Przepis drukowany przy każdej dozie. Jeśli prócz tej dolegliwości włosy wychodzą, należy na noc skórę zwilżyć płynem zwanym *Tetra* firmy *Tissot.* Po dwukrotnym użyciu włosy przestaną wypadać, a łupież zniknie zupełnie. Czerwonosć nosa zniknie przy używaniu płynu *Nezaline Dufoura.*

*A. C. w Żytomierzu.* Farba do włosów *Hennoline* nie wymaga mycia głowy, co jest bardzo pożądane, zwłaszcza, gdy nadejdą dni chłodniejsze. Jeśli pani chce racjonalnie pielęgnować cerę, jedyną na to środek *Abarid,* powszechnie już uznany i wypróbowany, robi skórę odporną na zmiany atmosferyczne, muskuły twarzy stają się jędrne, przez co nie dopuszczają się do tworzenia zmarszczek. Ręce znakomicie udelikatni krem *Psyche;* smarować nim ręce na noc i nałożyć rękawiczki kosmetyczne, nie nasycane.

*Antosi w Rzeszowie.* Węgrzy wygubi *Pureol.* Żółte plamy na skórze *Krem Dora Orgley.* Przed użyciem kremu myć się mydłem *Alkalicznym.* Puder *Abarid* jest najhygieniczny ze wszystkich znanych, zupełnie niewidocznie przylega do twarzy, chroni od pryszczów, liszajów i chropowatości.

*Do wszystkich.* Adresów podawać nie możemy, ani też cen. Dla wygody jednak naszych czytelników zobowiązaliśmy firmę *Perfection Szpitalna 10 i Paszkowskiego Marszałkowska 109,* aby miały na składzie wszystkie zalecane przez nas środki.

*Mercedès.*

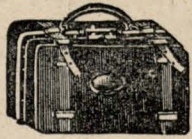
## Ostrzeżenie.

Mamy zaszczyt przypomnieć Sz. Publiczności najczęściej rozpowszechnioną zaprawę „HYGIENA“ do podłogi zwracanie uwagi na to, że w każdej puszcze, wewnątrz, zaprawa pokryta jest pergaminową powłoką z naszym znakiem fabrycznym, zatwierdzonym przez Ministerium. Tylko taka zaprawa jest naszego wyrobu. Nieuczciwych fałszerzy pociągamy do odpowiedzialności sądowej.



Centralne Laboratorium Chem. w Warszawie.

Najlepsza Pasta do Obuwia „INTRYGANT” żądać wszędzie  
H. Trembińskiego



L. MARCHOWIECKI Krak.-Przedmieście 23  
(vis à vis pom. Mickiewicza)

Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy, obuwie letnie, pudła fornerowe, etc. Wyrób własny, ceny niskie.

WITRAŻE (Glaciers) do okien: metr od 35 kop., oraz KALKOMANIE naśladowujące słoje i kolory wszelkiego drzewa i marmuru (metr 30 k.). Rezultaty zadziwiające. Oszczędność wielka. Prospektury próby bezpłatne. MAGAZYN FRANCUSKI (BERGA 8).

## Księgarnie Gebethnera i Wolffa

w Warszawie i Lublinie

i G. Gebethner i S-ka w Krakowie

POLECAJĄ OSTATN. WYDAWNICTWA POWIEŚCIOWE:

Berent W. Próchno. Powieść współczesna. Wyd. II-e.	2.—
Czyński J. Jakobini polscy. Powieść z r. 1830.	1.—
Gliński K. Żaloty Króla Jegomości. Powieść obyczajowa z czasów Jana Olbrachta.	1.20
Jaroszyński T. Doktor Tomasz. Powieść.	1.20
Jeleńska E. (Dmochowska). Bociany.—Pantofelki.—Modlitwa Janwigi.—Bajka.—Tryumfator.—Przy lampie.—Znak zapytania.—Przed świtem.—W dzień patrona.	—90
Jeske-Choński T. Błyskawice. Powieść historyczna z czasów rewolucji francuskiej.	1.50
Kraszewski K. Humoreski.	1.—
Miciński T. W mrokach złotego pałacu czyli Basilisa Teofanu. Tragedya z dziejów Bizancjum X wieku.	2.50
Ostrowski Nałęcz Stan. Zarzewie. Powieść historyczna z czasów Księstwa Warszawskiego.	1.50
Prus B. Dzieci. Powieść.	1.80
Reymont Wł. St. Chłopi. Powieść współczesna: I. Jesień. II. Zima. III. Wiosna. IV. Lato. Cena każdego tomu w ozd. oprawie	1.50 1.90
Rodziewiczówna M. Byli i będą. Powieść z niedawnej przeszłości.	1.50
— Dawaj's. Powieść współczesna uwieńczona na konkursie „Kurjera Warszawskiego”. Wyd. 3 cie.	1.—
— Hrywda. Powieść. Wydanie II-gie.	1.—
— Klejnot. Powieść. Wyd. 3-cie.	1.—
— Kwiat lotosu. Powieść. Wyd. III-cie.	1.—
— Rupiecie. Nowele. Wyd. 2-gie poprawione.	1.—
— Straszny Dziadunio. Powieść. Wyd. IV-te.	—60
Sienkiewicz H. Dwie łąki.	1.50
Sieroszewski W. Małżeństwo. Być albo nie być. Tulacze.	1.80
Urbanowska Z. Wszelchomci. Kartka wycięta z kroniki miasta powiatowego. Wyd. IV-te 2 tomy.	2.—
Weyssenhoff J. Dni polityczne. Serja II (r. 1905—1906) W ogóln.	1.—
Wyspiański Stan. Skalka. Dramat w 3 aktach.	1.—
— Wesele. Dramat w 3 aktach. Wyd. IV-te.	1.60
Zabojcka M. Gromnice. Powieść.	1.20
Zapolska G. O czym się nie mówi. Powieść współczesna.	1.80
— Sezonowa miłość. Powieść współczesna. Wyd II-e	1.50
— Wodzirej. Powieść. Wyd. 2-gie.	1.50
Zbierzchowski K. Literat. Powieść.	1.20
— Malarze. Powieść.	1.20
Zdziochowski K. Przemiany. Powieść 2 tomy.	2.—
Żmijewska E. Dola. Powieść. Z przedm. E. Orzeszkowej.	1.60

## HENRYK MICHAUX

LEKARZ DENTYSTA Foksal Nr 15. Telefon 69-80.

## GEBETHNER i WOLFF

PIANINA I FORTEPIANY  
W WARSZAWIE  
KRAK.-PRZEDM. 17



LUDWIK SZUFA  
KRAWIEC  
KRAKOW TELEFON 671

ANTONI MITKIEWICZ Lek.-D-ła  
ZAKŁAD LECZNICZY

chorób zębów i jamy ustnej,  
przenióst na KRAKOWSKIE-PRZEDM. Nr 7

Największe powagi lekarskie  
całego świata polecają

## Pastylki



GÉRAUDEL'A

jako środek leczniczy, usuwający radykalnie CHRYPKĘ, KATAR, KASZEL oraz wszelkie choroby dróg oddechowych.

Cena pudełka 85 kop.

UWAGA: Oryginalne pudełka zaopatrzone są w czerwoną etykietę z firmą głównego przedstawiciela na Królestwo i Cesarstwo: „Fabian Klingsland, Warszawa“.

KSIĘGARNIA Fr. RACZKOWSKIEGO  
LUBLIN, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 36,  
p. przeszła na własność

GEBETHNERA i WOLFFA.

Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa  
w Warszawie:

Modest Maryjański

Przewodnik polsko-angielski.

Słownik polsko-angielski

dla wychodźców polskich i przybyszów do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i Kanady, ułatwić mający stawianie kroków pierwszych w kraju obcym i naukę języka angielskiego z podaniem wymowy i brzmienia każdego wyrazu angielskiego według metody fonetycznej, z dołączeniem niektórych uwag, rad i wskazówek. Wydanie 2. W oprawie rb. 1.20. Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.